№. 26. Warszawa, dnia 18 (30) Czerwca 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Noc Święto-Jańska.

NA WIANKI.

Rzuć dziewczyno, wianek rzuć,
I piosenkę swoją nuć.
Rzuć na Wisłę — co w niej leży,
Prócz czerwonej Czerskiej wieży,
Na dnie jeszcze leżą Szwedy,
Potopione Bóg wie kiedy.

* * *

Dziewczę złote! krótka wiosna,
Lecz choć zimą bądź radosna,
Niech się wianek twój zamieni,
W wieniec kwiatów i promieni.
Kochaj—wierz i miej nadzieję,
Niech się wszystko do cię śmieje.

Miron.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Połowiczne to sieroctwo moje, nie było przecież dla mnie, jak bywa dla wielu innych, nieszczęściem.

Ojciec mój posiadał umysł, charakter i przeznaczenie podobne do wielu wyborowych ludzi z jego pokolenia. Wychowaniec Wileńskiej Wszechnicy, karmiony od młodości rycerskiemi tradycyami szlacheckiego rodu swego, z wiedzą obszerną i miłością dla wszystkiego co szlachetne i sprawiedliwe, miał on w sobie niezawodnie bogate materyały na męża czynu, na obywatela kraju, materyały, które przecież zmarniały przez brak pola do rozwinięcia się ich i w łatwym dostatku, przemieniły się w żywioł cierpienia i goryczy. Człowiek, który dla jakichbądź przyczyn nie uzewnętrznia słowem i czynem noszonych w głowie i piersi myśli i porywów, musi być człowiekiem smutnym, chociażby niewidzialnie, prędzej czy później musi przed sobą samym przyznać, że życie jego zostało straconem.

O wszystkiem tem dowiedziałam się nie dziś ani wczoraj. W dziejach i sercu świata uczył mię czytać ojciec mój od bardzo wczesnej pory. Zwolna, stopniowo, rozwijał mi przed oczami obraz po obrazie, dotykał wszystkich strun wewnętrznej mojej istoty, aż przyszły dnie w których z dziwną rozkoszą wiedzy, mówić zaczęłam: rozumiem! rozumiem!

Potem była chwila gdy zawołałam: kocham! i z niepojętem uczuciem szczęścia rzuciłam się na pierś mego ojca. Jemu wtedy zajaśniały oczy, jak nigdy przedtem. Usłyszałam że ścicha rzekł do siebie: „Przecież uczyniłem coś na świecie!"

Cóż kochałam podówczas? Wszystko ku czemu zwracano wzrok ciała i siłę pojęcia mego. Natura była siostrą moją — jedyną jaką miałam. Przywykłam naprzód wpatrywać się bezwiednie w jej barwy i słuchać jej dźwięków: potem od kamienia i fali wodnej do obłoków płynących górą i woni ścielących się w dole: od mchów na gruntach leśnych do liściastych lub igłami zjeżonych olbrzymów roślinnych; od pąsowej muszki, pnącej się z trudnością po chropawej powierzchni lipy, do wielkiego jastrzębia kreślącego pod niebem bojowe kręgi, poznawałam państwo przyrody i uczyłam się po imieniu nazywać, każde ogniwo łańcucha tego, mieniącego się jak zwierciadło gdy uderzą weń blaski słońca. Ludzi poznawałam także, mniej z książek jak z ust mego ojca. Byłam jeszcze bardzo młodą gdy filozofia dziejów ukazała mi się przepaścista lecz zrozumiała i rozwinęła przed oczami memi łańcuch drugi z kolei, lecz tym razem spleciony z błędów, bohaterstw, poddaństw, wyzwoleń, wiecznych tęsknot ludzkości do ściganych przez nią ideałów. Ideały ludzkości! Była to trzecia z kolei księga którą mi przed wzrokiem rozłożono, Poznałam wtedy imiona i znaczenie imion: sprawiedliwości, wolności, obowiązku, najbardziej zaś miłości—tej miłości, która lituje się, przebacza, nadewszystko zaś działać i wspomagać umie. To też wcześnie serce moje tając zaczęło litością bez granic dla wszech cierpień ludzkich, i doświadczać dziwnych namiętnych pragnień szczęścia dla ludzi. Zaledwie dorosłą dziewczyną będąc, czytałam o starożytnej wierze Zoroastra. Było to w wieczór jakiś jesienny. Czytając widziałam wyraźnie przed sobą Ormuzda i Arymana, bogów dobra i zła. Trwoga ściskała mi serce taka, jakbym nad własną głową czuła zawieszoną groźbę zniszczenia. Który z nich zwycięży? Za oknem wisiała gruba ciemność ale mnie się wydało iż z za skraju czarnego nieba wychylać się zaczyna złote światło. Był to rąbek zaledwie wielkiej gwiazdy ale kędy świecił on — dniało. Żeby prędzej gwiazda ta na widnokrąg wpłynęła i zaświeciła po samym środku jego dla wszystkich i na zawsze! Któż może bieg jej przyśpieszyć? Duchy pomocnicze Ormuzda, silne i bezbłędne, wojujące o panowanie Boga światłości. Więc jednym z duchów tych zostać! Co za pyszna ambicya, jaka nadzieja świetna, co za cel życia! Wtedy przysięgałam sobie że będę służyła Bogu światłości, że błąd i zmaza wszelka będą dla mnie najsroższemi z nieszczęść...

Powiesz Klementyno, że była to chwila ekstazy. Tak.

Kochałam więc naturę, ludzi i idee. Że wyraz: miłość, może mieć inne jeszcze znaczenie, dowiedziałam się o tem mając lat siedemnaście.

Pewnego dnia, ojciec mój otrzymał z poczty list z czarną pieczęcią. Po przeczytaniu go siedział długo nieruchomy z pobladłą twarzą i schmurzonem czołem. Pierwszy raz w życiu widziałam wtedy łzy w jego oczach.

Nazajutrz dopiero, o niezwykłej porze zawołał mię do gabinetu swego. Gdy weszłam, wziął mię za rękę i wskazując jedno z malowideł wiszących na ścianach, rzekł stłumionym głosem:

— Przypatrz się portretowi temu. Przedstawia on twoją matkę. Osłupiałam. Portretowi temu dla tego może właśnie iż widywałam go od dzieciństwa, nie przypatrywałam się nigdy z wyłączną uwagą. Obrazów w domu naszym było wiele. Znaczenie niektórych z nich tłomaczono mi starannie. O tym nikt mi nigdy nic nie mówił a kiedy małem dzieckiem jeszcze będąc zapytałam raz: co to za pani?

Nauczycielka moja po chwili widocznego wahania się, odpowiedziała: to nikt, Marciu, to fantazya! Odtąd ilekroć przychodziło mi wymienić po imieniu portret kobiety wiszący w pokoju mego ojca, nazywałam go: fantazyą!

Teraz, po przejściu pierwszego wrażenia, zaczęłam przypatrywać się portretowi tak jak gdybym go po raz pierwszy w życiu widziała. Przedstawiał on kobietę dwudziestokilkoletnią niepospolicie piękną, w sukni z czarnego aksamitu, z surową prostotą obejmującej kibić i z białem kwiatem w ciemnych warkoczach. W ubraniu tem jak i w postawie kobiety był wdzięk arystokratyczny, złożony z zaniedbania połączonego z wytwornością, z miękkości nie ukrywającej zupełnie tłumionej energii. Być może iż te to właśnie tłumione czy nie rozwinięte siły serca, czy wyobraźni czy zmysłów, pokrywały delikatne jej rysy bladością, z za której przebijać się zdawały ogień i krew, a źrenice jej, patrzące z pod długiej powieki malowały barwę ciemnego złota. Czoło jej piękne lecz wązkie nie zapowiadało żywej ani silnej inteligencyi, a usta wypukłe, krwistą barwą świecące wśród bladości twarzy, posiadały dwa połączone z sobą wyrazy: słodyczy i namiętności.

Nie mogłam jeszcze oderwać oczy od wizerunku matki mej, po raz pierwszy widzianej, gdy ojciec mój pociągnął mię ku sobie i powiedział wahającym się głosem:

— Matka twoja, Marciu, przed parą tygodniami umarła.

Na słowa te nie wybuchnęłam płaczem. Nie mogłam płakać po matce nieznanej. Jedna ze strun natury ludzkiej, nie dotykana we mnie nigdy, pozostała niemą. Nie pytałam też o nic.

Sam, niepytany, ojciec mój mówić do mnie zaczął. Lecz zaledwie kilkanaście wymówił wyrazów, zakryłam oczy dłońmi, bo ogarnął mię wstyd i żal. Ojciec mój nie oskarżał nigdy mojej matki, owszem, mówił o niej ze smutną pobłażliwością, ale myślał, iż przyszła pora w której powinien był wyjawić przede mną całą prawdę. Nie mogłam przecież nie wiedzieć nigdy: dla czego nie miałam matki? Po raz pierwszy wtedy, nie w książce już ale w życiu spotkałam jedną z fatalnych historyi tych, których źródłem — miłość buntownicza, rwąca i łamiąca niby podmuch burzy wszystkie węzły i zapory. Burza uczuć porwała mi matkę w świat. Pozostał po niej człowiek z rozdartem sercem, dziecię osierocone i dom na zawsze smutny.

Historya którą usłyszałam, była dla mnie rodzajem objawienia. Miłość więc ta, którą tak szczytnie opiewają poeci, której płomienne lub idylliczne obrazy przedstawiały mi się nieraz na kartach książek — w takich więc niekiedy nieubłaganych, okrutnych przedstawia się kształtach — takie rozdarcia i pustki za sobą wiedzie!

Zdjęła mię groza niewymowna w obec tych nagle ujrzanych, tajemniczych dla mnie pokus, rozkoszy i nieszczęść. Długo potem, słysząc lub czytając o miłości pojętej w najzwyklejszym jej wyrazie, czułam dreszcz trwogi i coś nakształt gorzkiej niechęci dla uczucia tego, które życiu mego ojca odebrało jedyne dlań może źródło szczęścia i — zabiło mi matkę. Pierwsze to gwałtowne wrażenie minęło z czasem, ale odtąd dłużej i częściej myśleć i z ojcem mym rozmawiać zaczęłam o sprzecznościach w jakich częstokroć stają naprzeciw siebie obowiązek i namiętność i o obustronnych ich prawach. Wtedy też po raz pierwszy na myśl mi przyszło, że sama zostanę zapewne kiedyś żoną, matką, panią domu i że na tej to drodze przyjdzie mi zużytkować gorące chęci i siły które czułam w sobie. Sprawdzenie jednak bardzo naturalnych przewidywań tych, nie zdawało się blizkiem. W skutek usposobień ojca mego dość na owe czasy niepospolitych i bardziej jeszcze wyjątkowych zasad, któremi rządził się w wychowywaniu mię, żyliśmy w innym jakby świecie wyobrażeń i przyzwyczajeń niż wszyscy ludzie podobnego nam położenia towarzyskiego. Sprowadziło to pomiędzy nami a nimi rozdział konieczny. Głośno zwano ojca mego marzycielem, ideologiem, utopistą, mnie filozofką, emancypantką lub przemądrzałą panną. Ztąd, gość w domu naszym był rzadkiem zjawiskiem, my zaś nigdy prawie nie wydalaliśmy się z domu. Raz tylko odbyłam z ojcem daleką, bo rok prawie trwającą podróż po Europie. Widziałam kilka miast wielkich, liczne dnie przesiedziałam w galeryach i muzeach, ucząc się naocznie rozpoznawania różnych szkół malarstwa i kopiując dostępniejsze mi obrazy, zwiedziłam z ojcem mnóstwo zakładów publicznych, w Paryżu uczęszczałam na publiczne lekcye uczonych i krytyków, w Pradze Czeskiej uczyłam się rzeźbić na drzewie, w Gandawie, przy pomniku Wilhelma Oranii, zaimprowizowałam, naturalnie ojcu memu tylko na ucho, jakiś poemat. Lecz ani razu w ciągu długiej podróży tej, wzrok mój nie zatrzymał się z wyłączną uwagą na żadnej twarzy męzkiej, jak ani razu serce nie uderzyło mi żywiej na widok któregokolwiek z młodych sąsiadów, którzy bądźto zwabieni przypuszczalnym mym posagiem, bądź dzięki bogatszej naturze swej pociągnięci ku ojcu memu, wstępowali od czasu do czasu w progi nasze. Nikt z pomiędzy nielicznych zresztą znanych mi młodych ludzi, nie wywierał na wyobraźnię moją żadnego wrażenia ani odpowiadał obrazowi człowieka, z którym zgodziłabym się połączyć na zawsze me istnienie. Właściwie mówiąc, obraz ten wielce był, we własnym umyśle moim, niejasny. Nie nosiłam w wyobraźni mej, na wzór innych dziewcząt, żadnego *ideału* o czarnych albo modrych oczach, o nosie greckim albo rzymskim. Nie myślałam o tem czy przyszły towarzysz mego życia artystą ma być lub hreczkosiejem, poetą lub uczonym. Zdawało mi się tylko że powinien koniecznie kochać to com ja kochała i dążyć do tego do czego ja w życiu dążyć umyśliłam, że powinien był posiadać dość wiedzy, szlachetności i energii aby dopomódz mi do stania się doskonalszą niż byłam i zdobycia stanowiska takie ażebym znaleźć w niem mogła pole do pracowitego i użytecznego działania. Oto było wszystko co myślałam kiedykolwiek o mym przyszłym. Że człowieka takiego kochaćbym mogła ogromnie, a w miłości tej znajdować i dawać również ogromne szczęście, czułam to także ale nie myślałam o tem i nie marzyłam. Myśl o miłości wywierała na mnie zawsze wrażenie nieokreślonej trwogi: możnaby rzec iż od czasu w którym dowiedziałam się o dziejach mojej matki, miałam uczucie to w ciągłem podejrzeniu.

Nieuwierzysz, kochana moja Klementyno, jak byłam szczęśliwą i wesołą wracając do domu z owej długiej podróży.

Rodzinne miejsce moje wydało mi się, po całorocznem rozłączeniu z niem, najpiękniejszem miejscem pod słońcem. Śmiejąc i wyśpiewując arye oper słyszanych niedawno w stolicach, obiegałam wszystkie kąty domu, w ogrodzie witałam się z każdą ścieżką i z każdem niemal drzewem, stawałam nad parowami i nadstawiałam ucha słuchając, czy na dnie przepaści tych, przez czas mej nieobecności, nie umilkła jedna ze srebrnych pieśni wody lub nie przepadło jedno ze smutnych westchnień wiatru? Aż nakoniec, zawiesiłam na ramię koszyk i pobiegłam do lasu.

Miałam wtedy lat 19, głowę wrzącą myślami, obrazami, urywkami poezyi, zwrotkami pieśni, pierś gotową zawsze do wybuchnięcia łzami zapału lub śmiechem radości.

Było to w Czerwcu. Na ścianach domu, wśród gęstej zieleni, wisiały już śnieżne kielichy powojów.

Dowiesz się gdy przeczytasz parę dalszych stronnic, dla czego dzień ten, więcej niż każdy inny w mem życiu, przedstawia się mej pamięci wiernie i dokładnie, aż do najdrobniejszych szczegółów.

Pamiętam to nawet, że miałam na sobie białą suknię i że idąc zrywałam po obu stronach drogi, dzikie kwiaty, z pomiędzy traw wyrastające i nie przeglądając się naturalnie w żadnem zwierciadle, wkładałam je sobie w warkocze.

Były tam liliowe dzwonki, różowe koniczyny i białe rumianki, kłosy dziko rosnące, bodaj że nawet i kolczaste gwiazdy ostów. Strojąc się tak myślałam o tem, że niebo skrzy się złoto od blasków upalnego słońca, że rzeka wesoło szumi w pogodę, że poczciwa piastunka moja, stara Prakseda, z twarzą zżółkłą i pomarszczoną, z cierpiącemi ustami a rozumnemi oczami rada będzie bardzo gdy dziś, znienacka, do chaty jej wpadnę..:

Cały, cały ten dzień pamiętam, z najdrobniejszemi jego szczegółami i dziwna rzecz! teraz jeszcze, po tylu latach minionych, ja, kobieta spokojna, szczęśliwa, dumna swem przeznaczeniem, gdy przypominam dzień ten i odnawiam w sobie uczucia których w nim doświadczyłam, czuję się trochę smutną!

W porze jagód i grzybów spotykałam się zwykle w lesie z dziewczętami wiejskiemi. Znały mię one dobrze i były ze mną śmiałe. Tym razem przecież las był pusty. Chodziłam sama pomiędzy sosnami zrywając tu i owdzie pąsową jagodę albo źdźbło mchu, które dorzucałam do mego dziwacznego i coraz wzrastającego wieńca, gdy ujrzałam wybiegającą z zarośli młodą dziewczynę zdyszaną i widocznie wylękłą, z rozwianemi po czerstwej twarzy płowemi włosy, z czerwoną chustką opadłą w biegu z głowy na plecy. Biegła wprost ku mnie, dając mi zdala rękami znaki jakieś, wymawiając pośpieszne słowa których dosłyszeć nie mogłam, i co chwila ocierając fartuchem ze wzburzonej twarzy pot czy łzy.

Poznałam dziewczynę odrazu. Była to wnuczka piastunki mojej, starej Praksedy.

Przypadła do mnie szlochając i całowała mi ręce.

— Panienko złota! babula moja umiera!

— Czy dawno zachorowała? zawołałam!

— Ot tylko, tylko co! godzinę temu! Rankiem zdrowa jeszcze była i po drewka do lasu chodziła!

Potem, ot tak, rzuciło ją w wielkie dreszcze... zsiniała cała... skostniała... leży i jęczy...

Słuchając przerywanych słów tych przelękłej dziewczyny, zadrżałam. Z opisu choroby poznałam że był to objaw strasznej epidemii, która zapanowała była lata owego w wielu częściach kraju a teraz i do naszego kąta snać zawitała.

Widmo klęski sprowadzić mającej za sobą setki pogrzebów i osieroceń, wmieszało się w idyllę moją. Jasny świat pociemniał mi w oczach.

— Biedna, biedna moja Prakseda! zawołałam ze ściśnionem sercem i biedz zaczęłam w kierunku chaty starej sługi naszej rodziny, poczciwej mojej niańki. Julisia, smukły i roztropny podlotek, którą sama uczyłam była czytać w książce i w świecie bożym, biegła za mną szlochając jeszcze ale już pocieszona.

— Ja wiedziałam, mówiła, że panienka pójdzie zaraz do babuli i da jej jaki ratunek! Szukałam panienkę po całym dworze, aż Jerzy powiedział mi, że panienka do lasu z koszykiem poszła!

— Trzeba było Julisiu, zaraz posłać po doktora.

— Jest tam w chacie panieneczko, pan jakiś, co mówi że jest doktorem!

Kiedy babula zachorowała i jęczeć zaczęła w niebogłosy, Marta, Jakóbek i ja, wybiegliśmy przed chatę i z trwogi a żałości zaczęliśmy płakać głośno i zawodzić. Wtedy nie wiem zkąd, pan jakiś nadszedł i zapytał: co to? a gdyśmy mu powiedzieli że babula nam mrze, wszedł do chaty i tam już siedzi teraz. Ale ja zawsze myślałam sobie: co tam jakiś cudzy! kto go wie jaki on, i pobiegłam po panienkę!

Kiedy Julisia kończyła to opowiadanie, przebywałyśmy gładką, suchą łąkę, u skraju której zbudowaną była wieś długa i zamożna. Mieszkanie Praksedy znajdowało się w niewielkiem od wsi oddaleniu i wyglądało na zagrodę szlachecką więcej niż na wieśniaczą chatę.

Domek to był dość wysoki i mocno zbudowany. Pod oknami jego kwitły nagietki, maki i słoneczniki, od strony ogrodu, szeroko rozrosłe grusze i jabłonie zarzucały ciężkie gałęzie na ściemniałą strzechę.

Zmęczona biegiem po nierównym gruncie lasu, zwolniłam nieco kroku na łące i w pobliżu zagrody Praksedy, ujrzałem wcale niespodziany widok. U skraju łąki, na wzgórzu, ocienionym kilku staremi wierzbami, siedzieli dwaj młodzi mężczyźni, w szarych podróżnych płaszczach. Pomiędzy nimi na trawie, leżały rozrzucone resztki podróżnego widocznie, niedawno spożytego obiadu, małe tłomoki jakieś i wielkie teki nawpół roztwarte, papierami i zwiędłemi roślinami napełnione. Jeden z młodych ludzi siedząc pod drzewem z odkrytą głową, miał przed sobą małe, przenośne sztalugi, na których rysował, jak się zdawało, zagrodę Praksedy, drugi w kapeluszu słomianym z szerokiemi brzegami, leżał na spadzistości wzgórza i niedbale przerzucał karty książki. Gdy mijałam ich zdala, wyprostowali się obaj i patrzyli na mnie z widocznem zaciekawieniem.

Zapytałam Julisi: czy nie wie kimby byli podróżni panowie? Nie wiedziała. Jakóbek tylko, mały brat jej, widział, iż przybyli na łąkę pieszo, bardzo opyleni i zmęczeni, brali ze wsi wodę i mleko a ten pan który mówił że jest doktorem i przy babce jej teraz siedzi, przyszedł także z nimi. Domyśliłam się że byli to młodzi turyści, podróżujący po kraju, w naukowych zapewne albo w artystycznych celach.

Przed drzwiami domu stała synowa Praksedy Marta, z zapłakanemi oczami.

Weszłam do domostwa. Wraz ze mną, przez drzwi otwarte, szeroka smuga złotego światła wpłynęła do izby, której dwa okna, staraniem snać nieznajomego, przysłonięte były wielkiemi chustami. Od chust czerwonych, mrok napełniający izbę, przybierał blado pąsową barwę.

Zatrzymałam się chwilę w progu bo wzrok mój przyzwyczajony do rzęsistej światłości dnia, nic zrazu rozróżnić nie mógł w tym różowym półcieniu. Wówczas, z głębi izby doszedł mię głos męzki przyciszony i, jak mi się zdawało, trochę nieśmiały.

— Chciej pani drzwi zamknąć bo zbyteczne światło przykrem być może chorej.

Usłuchałam coprędzej zalecenia i postąpiłam kilka kroków.

W głębi izby, biedna Prakseda, spoczywała na swem wiejskiem łożu z białego drzewa, pod ścianą zawieszoną obrazkami Świętych, wianuszkami z zeschłych ziół i pękami palm poświęcanych.

Przy łóżku, siedział na drewnianym stołku młody mężczyzna i trzymając dłoń na ściągniętej kurczem ręce chorej, pochylił nad nią głowę.

Kiedy zbliżyłam się, nieznajomy powstał i usunął się nieco na stronę.

Oczy Praksedy gdy spojrzała na mnie zaświeciły żywiej z pod siwych brwi. Błysk ten chwilowej radości, rzucił na twarz jej ściągniętą cierpieniem, wyraz ulgi. Poruszyła zwiędłemi i zsiniałemi wargami, jakby wymówić usiłowała jedno z tych imion pieszczotliwych, któremi nazywała mię od dzieciństwa, ale z gardła i piersi nie potrafiła wydobyć nic prócz jęku.

Pochyliłam się nad nią i ujmując jej rękę chciałam pocałować ją w zmarszczone, białemi włosami przykryte czoło. Lecz nagle uczułam na ramieniu lekkie dotknięcie czyjejś ręki. Podniosłam głowę.

— Pani zapewne nie wie, szepnął nieznajomy, że choroba ta udzielać się może tym co zbliżają się do niej zbyt nieostrożnie.

Jakkolwiek smutno mi było, uśmiechnęłam się.

— Wiem o tem, odpowiedziałam, ale i cóż ztąd?

Za całą odpowiedź, nieznajomy oddał mi ukłon, mający jakby oznaczać, że spełnił swą powinność ostrzegając mię i że nic więcej nad to uczynić nie miał prawa.

Prakseda jęknęła znowu. Zmarszczone powieki jej opadły na omdlałe źrenice. Zdawało mi się, że leżała nie dość wygodnie. Ostrożnie więc podniosłam w ramionach wyschłe od starości, sztywne od choroby jej ciało, złożyłam je znowu na lepiej usłanych poduszkach i szepnęłam jej do ucha kilka wyrazów uspokojenia i nadziei. Potem zwróciłam się do nieznajomego i rzekłam:

— Powiedziano mi, że jesteś pan lekarzem. Pomoc moja będzie panu zapewne użyteczną. Co mam czynić?

Teraz, nietylko już nie patrzył na mnie, ale nie odpowiedział mi nawet zaraz. Z wyrazem skupionej uwagi na twarzy, badać począł z pomocą małego termometru, stopień ciepła jakiego dosięgnęło ciało chorej. Ukończywszy dopiero czynność tę zwrócił się ku mnie i w odpowiedzi na pytanie moje, rzekł:

— Racz pani wlać w usta chorej łyżkę tego lekarstwa, ja tymczasem ostudzę zioła.

Wskazał mi flaszkę z lekarstwem stojącą obok sporego pudełka, napełnionego narzędziami i przyborami lekarskiemi, sam zaś zbliżył się do ognia palącego się na kominie i z prostego glinianego garnka przelewać zaczął do szklanki kipiące zioła. Posiadając w domu, ku użytkowi domowników i włościan sporą apteczkę, znałam się trochę na lekarstwach i sposobie udzielania ich chorym. Na cichą prośbę moją, ściśnięte kurczowo usta chorej, otworzyły się wnet dla przyjęcia zbawczego płynu. Kiedy wyprostowałam się i twarz ku izbie zwróciłam, nieznajomy zajętym był jeszcze przyrządzaniem ziół.

Teraz gdy stał w świetle ogniska, po raz pierwszy zobaczyłam że był to bardzo młody człowiek. Nie mógł mieć więcej nad lat 24.

Podał mi szklankę z napojem.

— Teraz, rzekł, uczyń pani tak aby chora wypiła zwolna całą tę dozę, ja zaś zajmę się przyrządzeniem innych jeszcze środków.

(d. c. n.)

SZCZĘŚCIE.

„O powiedz! córka mówiła matce,
Gdy szczęście ludzi udziałem,
Czyli go szukać w ubogiej chatce,
Czy też w pałacu wspaniałym?
Gdzież ono, powiedz, znaleźć się może,
Gdy człek wciąż za niem tak goni:
Czy w szumie lasów, czy w gwarnym dworze
Czy też w klasztorów ustroni?“

„O córko droga! matka zawoła:
Szczęście nie mieszka wśród chatek,
Ni w znojach trudów skromnego sioła,
Ni tam gdzie złudny dostatek;
Nie ma go także w klasztornej cieśni
Przedwstępie grobów ofiarnym,
Ni w lesie gdzie brzmią urocze pieśni,
Ni w świecie hucznym i gwarnym.
Ono w nas samych — człowieka serce
Jest to rozkoszy skarbnica:
Z niej prądy uczuć tląc wciąż w iskierce
Rumieńcem biją na lica,
Z niej wytryskuje w promieniach czystych
Blask, co tak jasno nam świeci,
Co wśród kryształów łez macierzystych,
Na złotych główkach lśni dzieci.
Ono wyrasta w spójni rodzinnej,
W dłoni co z dłonią się splata,
W świętej czci ojców, w łzie dobroczynnej,
W uścisku siostry i brata.
A kto go szuka pośród omamień,
Albo też w zmysłów grze zdradnej,
Temu zaciąży jak twardy kamień,
Żywot przesytem bezwładny.“

Ludwik Niemojowski.

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

O niektórych najdawniejszych książkach.

Druk i drzeworytnictwo (ksylografia). Sztuka umierania. Pierwsze drukarnie i druki polskie. Podanie talmudyczne o Salomonie i Asmodeuszu. Centaur i Marolf (Marchołt), jako przeobrażenia Asmodeusza. Rozmowy Salomona z Marchołtem po polsku. Pierwsze drzeworyty polskie. Nowoodkryte ułamki kalendarzy polskich. Zwolennik emancypacyi kobiet w XVI wieku. Niektóre inne dawne książki.

(Dokończenie).

Cztery ryciny, przedstawiające wzmiankowane powyżej sceny — najdawniejszy zabytek drzeworytnictwa polskiego — nie mogą być pewno, pod względem artystycznym, porównane z drzeworytami dzisiejszych pism naszych ilustrowanych, niemożna wszelako powiedzieć, ażeby były całkiem grube i nieudatne. Na pierwszym, nieco uszkodzonym, król Salomon, w koronie i z berłem, w sukni futrza-

nej, siedzi na tronie pomiędzy dwoma oknami; z obu stron stoją dwaj starcy w długich sukniach, jeden opasany i w śpiczastej czapce, drugi w szerokiej szacie z wyłogami i zamiast rękawów wyciętemi otworami; pod tą zwierzchnią szatą znajduje się druga spodnia z rękawami. W głębi we drzwiach widać głowę Marchołta, niosącego mleko dla króla. Na drugim rysunku, może najudatniejszym Salomon i Marchołt spędzają noc bessenną, siedząc po obu stronach stołu; król ubrany tak samo, jak na poprzednim rysunku, tylko bez berła, Marchołt zaś, krótki i gruby, z włosami stojącemi jak szczecina i obwisłemi uszami, drzemie, wsparłszy głowę na książce. Na stole stoją olbrzymi kufel i kubek. Na trzecim rysunku przedstawione są obok siebie dwie sceny. Marchołt, rachujący, w obecności króla, pierze sroki, którą trzyma w ręku i potknięcie się króla w ciemnej izbie o garniec z mlekiem.

Nakoniec na czwartej rycinie król Salomon siedzi na tronie, obok którego stoi dworzanin w płaszczu i birecie, a Marchołt przyprowadza przed króla swoją siostrę. Oboje — brat i siostra przedstawieni tu z najwyższą przesadą potworności; na twarzy króla i dworzanina maluje się podziwienie, obudzone widokiem potwornej siostry Marchołtowej. Wszystkie te rysunki są bardzo ważne dla historyi sztuki i szczególniej pouczające pod względem ubiorów przedstawionych na nich postaci, są to bowiem ubiory polskie z pierwszej połowy XVI wieku.

Ten sam Jan z Koszyczek, tłómacz Marchołta, tak dzielnie władający językiem polskim, przełożył jeszcze z łacińskiego i wydał najdawniejszą w języku polskim powieść p. t. „Historya piękna i śmieszna o Poncyanie cesarzu rzymskim, jako syna swego Dyoklecyana dał w naukę i ku wychowaniu siedmiu mędrcom, która w sobie wiele przykładów i powieści cudnych zamyka, każdemu człowiekowi ku czytaniu pożyteczna i potrzebna."

W r. 1522 ten sam Vietor wydał „Ecclesiastes księgi Salomonowe, które polskim wykładem Kaznodziejstwo mianujemy" przełożone przez Hieronima z Wielunia. Jedyny znany egzemplarz tej książki znajduje się w posiadaniu hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Potem dopiero następuje pochodzący z tegoż roku „Żywot Pana Jezu Krysta", tłómaczony przez Opecia dla Elżbiety córki Zygmunta I. Wzmiankowany Jan z Koszyczek dodał tu wierszem treść Życia Jezusa, a Hieronim Spiczyński przydał „Napominanie Pana Jezusowe do człowieka wszelkiego ku naśladowaniu żywota swojego."

Jako próbkę języka i pisowni Opecia, przytaczamy następujący wyjątek:

„Tak że gdy był wieczór possedł Jesus zasie do Betaniey z swymi zwolenniki, tamże na drodze idąc snimi o skażeniu miasta Jerozolimskiego y o sądnym dniu im powiedał. Matuchna jego miła w ten czas sie barzo smęciła iż tak długo iej miły syn nie przysśedł z Jeruzalem miasta, przeto się bała aby go Zydowie nie ięli y czego złego mu nieudziałali. A dla tego widząc Jesus miły smętek swoiey matki, posłał naprzód Jana z Piotrem do niey aby się nie smęciła, powiedaiąc iey iżci iuż idzie syn twoy matuchno błogosławiona."

W 1524 roku u tegoż Vietora wyszło bezimiennie dzieło „Fortuny ij Cznoty roznoscz (różność)," w którym opisane są, w tonie moralnym i dydaktycznym, przygody życia świeckiego i dworskiego pewnego młodzieńca. Są tu i wiersze jak np. umieszczony pod tytułem sześciowiersz następujący:

Pokora ku swoijm.
Daymy Krolom ich Krolestwa,
Butę Hardym y Szlachecztwa,
Daymy pieniądze lakomym,
Perly, odzienije Roskosznym,
Pysznij czo chcecie to mieycie,
Nam Pokornym cznotę daycie.

Potem idą kalendarze, odkryte w 1874 roku przez wzmiankowanego już wyżej Celichowskiego w okładkach starych książek biblioteki kurnickiej. Odkrycie swoje p. Celichowski opisał naprzód w dzienniku poznańskim „Warta," a następnie w osobnej broszurce (Poznań w drukarni Daszkiewicza 1874). Znalezione kartki należały do dwóch kalendarzy: jeden z r. 1528 nosi taki tytuł „Wyslowyenye (wysłowienie) znakow nyebyeskych prez Mystrza Mykolaya z Sadku pilnye na rok lata bożego 1528 słożone" dalej jeszcze kilka słów o panujących tego roku planetach, a w końcu: „Wybyiano Wkrakowye przez Hieronyma Vietora." Na drugiej stronie karty tytułowej zachowała się bardzo ciekawa przedmowa, z której przytaczamy wyjątek w pisowni dzisiejszej, ażeby łatwiej było odrazu ocenić język i styl autora.

„Aczkolwiek najwyższy niebios Stworzyciel, od którego zrodzona jest wszystkim bytność i żywność, przyszłych rzeczy pewną wiadomość sam sobie przywywłaszczył; wszakoż też człowiekowi, ku swemu obrażeniu stworzonemu, cząstkę przez niebieskie znaki domniemanie znania udzielił, ale acz dał niebu i gwiazdom moc rodzenia, każenia i odmienia-nia rzeczy. A wszakoż dostatecznie nam tego poznawać nie chciał dać, bo on jest sobie wolny, pan mogący, kiedy chce, wszystko też nad bieg przyrodzeniu dany czynić i odmienić według (względem) spraw człowieczych, jakoż to prawdziwy zakon wiary naszej jawnie wyznawa, a przeto my, który nauki przyrodzonego rozumu rozczytamy, a oto przyszłe rzeczy znaków niebieskich opowiadamy; iż niedostatecznie a odmiennie je zrozumiewamy, czasem omylamy, a też boskiej karności albo też łaski nie nie wiemy, który inak (inaczej) sprawia niżli przyrodzenie znak dawa, przeto gdyż według woli swej a zasług i win naszych pan Bóg nam daje, jego tak sobie zachowamy, jako mieć chcemy." W innych ustępach pełno także wyrażeń dosadnych i obecnie wyszłych z użycia jak np. mgła *rosna*, deszcz *gradny*, *krupny*, pogoda *obłoczysta*.

Według pojęć ówczesnych, ze zjawisk niebieskich, a nawet z wiatrów i pogody można było wnioskować o różnych wypadkach ludzkich: dla tego i w tym kalendarzu mieszczą się przepowiednie o pogodzie, a w związku z niemi wróżby o drożyźnie, wojnach i t. p. Rozumie się, że przepowiednie pogody wypowiadane są niekiedy bardzo ostrożnie; autor zapowiada „miejscami deszcz" (jak to jeszcze mamy w kalendarzach wileńskich Zymelowicza z przed 1862 r.) a „burzę grzmiącą" przepowiada „w stronach gorących."

Drugi kalendarzyk nosił tytuł „Osądzenie spraw niebieskych sławne nauky Krakowskie na rok po narodzeniu Pana Jezu Krista 1529." Drukarnia nie podana i z drobnego druku gockiego trudno sądzić, z jakiej mianowicie drukarni wyszedł ten kalendarz. Autor oznaczony literami J. S. może, jak domyśla się wydawca, niejaki J. (Jan?) Sandecensis (z Sącza), którego nazwisko napotykamy często na spółczesnych kalendarzach łacińskich. Prawdopodobnie nawet ów kalendarz polski był tłómaczeniem łacińskiego; wychodziły bowiem podobne i o podobnym tytule „Judicium astronomicum v. astrologicum" (Osądzenie astronomiczne i astrologiczne). Godną uwagi jest rzeczą, że autor w dochowanej przedmowie rachuje głównie na czytelniczki „panny y panie, którym matka Ewa to im po sobie zostawiła, zeby każda s nich wiedziecz taiemnoscij chcijwa była." Ciekawy jest ustęp rozumowany o pospolitem między ludźmi narzekaniu na złe czasy, z którego przytaczamy wyjątek w dzisiejszej pisowni.

„Tęsknią sobie pospolici, jakoby najgorsze czasy na nich przyszły, a chcą aby się im wszystko po woli (według woli) wiodło. A co się złego ukaże aby się za ich żywota dokonało (przeminęło?). Nie wiedzą takowi że świat od stworzenia swego miennością złego i dobrego się toczy, a nie za krótkim wiekiem i czasem swój rząd obwiedzie. Bo mdli (słabi) a krótkiego żywota się rodzimy, niestałego umysłu, we wszem odmienni, a gdy co statecznego poczniemy, wnet ustaniem, a jako brzuchowi żywiemy (dla brzucha żyjemy), tak on nam wrzody mnoży; o nauki rozumne i prawa żywienia mądrego nie dbamy, ale za światem co dalej to gorzej idziemy."

Z przepowiedni o urodzajach widzimy potwierdzenie znanej zkądinąd wiadomości, że w Polsce za Zygmunta I były liczne winnice i wyrabiano smaczne wino.

Znane były także już wtedy i kalendarze ścienne: dochowały się resztki jednego z roku 1531, czarno i czerwono u Unglera drukowanego.

Widzieliśmy powyżej, że Vietor przypisał swego Marchołta Annie z Jarosławia i że kalendarz z 1528 r. przeznaczonym był przede wszystkiem dla kobiet. W dalszych latach nieraz się zdarzało, że dedykowano kobietom dzieła nawet poważne i treści naukowej; ztąd widać że w czasach zygmuntowskich wykształcenie kobiet nie było tak zaniedbanem, jak to nam się wydaje i że lubiły one czytywać książki.

Tak Andrzej Glaber z Kobylina dedykuje w 1535 r. Hedwidze z Kościelca kasztelance Żarnowskiej swoje dzieło p. t. „Problemata Aristotelis inaczej gadki z pisma wielkiego filozofa Arystotela i też inszych mędrców tak przyrodzonej jako i lekarskiej nauki z pilnością wybrane" i co najciekawsza, w przedmowie występuje jako pierwszy u nas zwolennik emancypacyi kobiet, ale tylko na polu umysłowem, dopominając się energicznie o udzielenie kobietom przystępu do wszystkich, nawet najwyższych nauk. Oto jego słowa w dzisiejszej pisowni.

„Między innemi przyczynami, dla których mężowie, naśladując w tem przodków swych, strzegą tego by białogłowy nie uczyły się pisma i ksiąg nie czytały, a tem samem rozumu swego nie ćwiczyły, zazdrość niepoślednie zajmuje miejsce. Bojąc się bowiem oni, żeby ich płeć piękna nie prześcigła w rozumie, wzbraniają im czytywać pism głębokich, a każą pilnować samych tylko modlitw i pacierzy.

Czego rozum nie pochwala. Bo i czemuż one niebogi mają doznawać tej wzgardy? Czemuż mają być niżej od mężczyzn uważane? Zwłaszcza gdy już za Rzymian, tak w czasach pogaństwa, jak i chrześciaństwa, było wiele pań statecznych, mądrych, poważnych, które rozumem swym chwalebnie się sprawowały i więcej niż niejeden mężczyzna okazały mądrość. A Polacy, opuszczając inne przykłady, nie mieliż królewny Wandy, córki Krakusa?"

Nic nowego pod słońcem: to co dzisiejsi emancypatorowie głoszą, jako nowość, wypowiedział już (o ile rzecz tyczy się wykształcenia umysłowego) pisarz polski XVI wieku. Tenże Glaber wydał 1539 r. psałterz dawidowy, przetłómaczony na język polski przez Walentego Wróbla. W przedmowie wspomina o cenzurze ówczesnej, która była wyłącznie duchowną, sprawowaną przez mistrzów (profesorów) akademii krakowskiej i biskupa krakowskiego, w celu nie dopuszczenia krzewiących się wtedy zasad protestantyzmu czyli „nowinek religijnych."

Zasługuje jeszcze na wzmiankę wydrukowana w 1545 r. „Krótka rozprawa między trzema osobami Panem, Wójtem i Plebanem." Jest to satyra wierszem na ówczesne zbytki, nadużycia, szlachty, panów i księży. Ciekawy jest ironiczny obraz sejmu:

„Wierzę snadź z seymu nassego
Nie słychamy nic dobrego,

Już to kilka niedziel bają,
A w niczem się nie zgadzają,
Boć y owi z pustą głową,
Co je rzkomy posły zową,
Bo jedni są co się boją,
Drudzy o urzędy stoją.
Wielkich stanów nierussaymy,
Tym się zdaleka kłaniaymy,
Boć też iedno zysk ten maią
Iż się im łaiąc kłaniayą."

Nakoniec wspomnimy jeszcze o wydrukowanej 1553 r. „Pieśni o weselu Najjaśniejszego króla Zygmunta Augusta" z Katarzyną Austryacką, prześlicznej choć niekunsztownej, przypominającej najpiękniejsze klejnoty poezyi ludowej. Pieśń ta musiała być śpiewaną przy gęślach lub lirze, gdyż zawierająca ją broszurka mieści w sobie także i odpowiednie nóty. Nieznany poeta nazywa króla Orłem, a nowozaślubioną królową — Orlicą i opowiada poselstwo Radziwiła (którego wielce sławi) po oblubienicę, wynosi jej ród wielki i życzy szczęścia i potomstwa królewskiej parze Dochowało się z tej pieśni 72 wiersze.

Pierwsza zwrotka brzmi:

Chwałać Bogu z wysokości
Z takich nawdziecznieyszych gości,
Bądźmy wdzieczni tey nowinye,
Jednać taka w Polsce słynie.

Życzenia swe nowożeńcom poeta tak wypowiada:

„Dali Pan Bóg ta Orlica
Będzye wzrok myeć królewica
Ku pocyessenyu swym Panom
Tak Litwye yako Polanom.

Na tem zakończymy niniejsze studyum o najdawniejszych książkach polskich lub w Polsce drukowanych. Najszczegółowiej powiedzieliśmy tu o rzeczach, o których historycy literatury naszej nie mówią nic wcale albo bardzo mało. Tak nawet w najobszerniejszej i najnowszej Historyi Literatury Polskiej podług notat A. Zdanowicza wydanej przez L. S. (Wilno 1874—1876 wyszło 3 tomy, a ma wyjść jeszcze 4-ty) o rozebranej przez nas broszurce „Ars Moriendi" i o odkrytych przez Celichowskiego kalendarzach nie znajdujemy żadnej wzmianki, a o „Rozmowach Salomona z Marchołtem" bardzo krótką i niedokładną.

Kronika Naukowa.

przez H. K.

Rośliny mięsożerne.

Gdyby ktokolwiek przed laty dwudziestu utrzymywał, że są rośliny drapieżne i mięsożerne, które żywe istoty na pokarm swój obracają, wystawiłby się na niechybne pośmiewisko, uchodziłby za znakomitego blagiera, a opowiadania jego zaliczonoby do bredni wschodniej Scheherazady, albo do dowcipnych zmyśleń księcia Panie Kochanku. A jednakże nie jest to wcale rzecz nowa i ludzie zastanawiali się od dawna nad dobrze znaną w cieplarniach *Muchołówką* (Dionaea muscipula), szybko stulającą swe listki gdy owad na nich usiędzie i nieroztwierającą ich dopóki on żyć nie przestanie.

Inne też podobnie zachowujące się rośliny uważano, ale przypisywano to szczególne działanie drażliwości i czułości listków, jak u *Czułka* (Mimosa pudica), którego listki stulają się za zbliżeniem ręki. Jednak w ostatnich czasach poczęto bliżej i dokładniej badać te rośliny. Darwin, który wzbogacił naukę bardzo wielu szczegółowemi obserwacyami, napisał o nich całe osobne dzieło; Hooker także liczne nad niemi czynił doświadczenia i też same co Darwin otrzymał rezultaty. Spostrzeżenia swoje prowadzili głównie nad roślinami: *Drosera Pinguicola* i *Nepenthes* oprócz dobrze znanej *Muchołówki*.

Każda z tych roślin ma liście obdarzone dziwną własnością i czułością zarazem: gdy na nich usiądzie owad jaki, zwijają się natychmiast i nie roztwierają, dopóki w objęciach swych go nie uduszą, a ciała je go, przy pomocy ostrego soku wydobywającego się z liści, nie przetrawią i drogą wsysania na pokarm swój nie zużyją. Gdy jakie nieorganiczne ciało wypadkowo na liść się dostanie, zwija się on wprawdzie w sposób podobny, ale jakby dostrzegłszy omyłkę, szybko się rozwija i precz odrzuca nieprzydatny dla siebie przedmiot.

Z owych roślinnych przez Darwina i Krokera badanych, najciekawszą jest *Dzbanecznik* czyli *Łagiewnica* (Nepenthes distillatorea). Ma ona liście zakończone jakby dzbaneczkiem albo urną opatrzoną w przykrywkę, wewnątrz niej liczne gruczołki płyn lepki wydzielają. Gdy owad zwabiony owym sokiem wejdzie wewnątrz dzbaneczka, przykrywka wnet się zamyka, a odmyka się dopiero po śmierci i przetrawieniu owadu. Ażeby przekonać się o sile tego trawienia, Darwin i Hooker wkładali w urny dzbaneczników kawałki białka z jaj, mięso i chrząstki nawet wysuszone na słońcu. Nic się jednak nie oparło tej sile, rozpuszczającej i rozkładającej, i mięso zupełnie zostało strawione w ciągu dni trzech.

Po wielolicznych i bardzo dokładnych doświadczeniach, uczeni ci przekonali się, że te ciała zwierzęce nietylko zupełnemu przetrawieniu ulegają, ale że roślina po prostu żywi się niemi, pochłaniając produkt tego trawienia, wsysając go ściankami swych liści, a odrzucając tylko cząstki nie przetrawione. A więc czyż to nie są dostateczne powody ażeby te rośliny nazwać *mięsożernemi?*

Obecnie pan Ferdynand Cohn ze Szlązka, uzupełnił wiadomość o roślinach tego rodzaju, przez niezmiernie drobiazgowe, skrupulatne badania nad dwoma roślinkami krajowemi, znajdującemi się czasem w stawach i stojących wodach naszych: *Aldrowandą pęcherzykowatą* (Aldrovanda vesiculosa) i *Pływaczem pospolitym* (Ultricularia vulgaris). Pierwsza z nich ma listki drobniutkiemi włoskami okryte. W dniach ciepłych listki te w wodzie na płask się rozpościerają. Gdy owad jaki, poczwarka albo drobny skorupiaczek na ich powierzchnię się dostanie, zamykają się szybko, zdobycz swą chwytają, włoski się krzyżują, tak, że tworzą zaporę do przebycia niepodobną, a liść przybiera kształt kulki i tak zostaje dopóki owad nie zginie i nie zostanie przetrawiony przez drapieżną roślinę.

Druga zaś, mniej znana ze swej drapieżności, ów *Pływacz pospolity*, był przedmiotem bardzo szczegółowych, mozolnych badań p. Cohna. Budowa jego liści jest dziwną i arcyciekawą. Mają one na sobie pęcherzyki szczególnego kształtu i skomplikowanej budowy, służące im jako organa chwytania i trawienia. Każdy z nich ma dwa przedziałki, pierwszy jest niby paszczą z otworem w kształcie podkowy, zamykającym się od środka ruchomym języczkiem; pyszczek ów otoczony jest włoskami. Owady czy też inne drobne żyjątka, przynęcone temi włoskami i lepkim płynem przez nie wydzielanym, włażą w otwór, z którego wydostać się już nie mogą, bo języczek tylko od góry do dołu się poruszający, przejście im tamuje. Owa jama pyszczka połączona jest małym otworem z przedziałem drugim, czynność żołądka niejako spełniającym, gdyż w nim właściwe trawienie się uskutecznia: napełniony on jest płynem ostrym przy pomocy którego odbywa się ono.

Wnioski w tym ciekawym przedmiocie p. Cohna, ograniczają się na przypuszczeniu, że rośliny te karmią się rzeczywiście żyjącemi istotami, opierając się głównie na tem, iż one będąc pozbawione korzeni, muszą się żywić tylko za pośrednictwem swych liści. Darwin zaś i Hooner nie wahają się wypowiedzieć stanowczo, że badane przez nich rośliny są czysto mięsożerne.

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

Część druga.

Ceylan.

(Dalszy ciąg).

Z przyjściem Europejczyków stan ten uległ znacznej zmianie.

Najprzód Portugalczycy i Holendrzy zażądali, aby ustanowiony podatek składano brzęczącą monetą a nie w płodach wyspy, jak to było dotychczas we zwyczaju. Żądanie podobne zniewoliło mieszkańców do zakładania plantacyi trzciny cukrowej, gożdzików i zwiększenia zasiewów ryżu. Błogosławiony klimat ułatwił wiele, pracowano trochę i składano należytość bez szemrania. Przykrzejsze jednak położenie oczekiwało mieszkańców.

Było to w epoce olbrzymich walk staczanych w Europie. Francya sama jedna stawiała czoło kilkunastu mocarstwom sprzymierzonym zagrażającym spaleniem Paryża. Chwila zdawała się stosowna dla Anglików dla napadnięcia na osady innych ludów zostające bez należytej obrony.

Wypędzeni przez flotę francuzką z Trinquematé w r. 1782, postanowili szukać odwetu w r. 1795 i zawładnąć wyspą Ceylan.

W trzech bitwach pod Galles, Colombo i Negombo rozbili Holendrów walcząc w stosunku pięciu przeciwko jednemu. Traktat zawarty w Amiens w r. 1802 przyznał im na własność dokonane zdobycze i odtąd nastała dla mieszkańców prawdziwa epoka niewoli.

Zdzierstwo poborców było niesłychane, dla zdobycia pieniędzy nie cofnęli się przed żadnym środkiem przymuszającym, uciekając się nawet aż do tortur. Dosyć w tej mierze odczytać sprawozdanie parlamentu angielskiego i mowy Foxa, Sheridana i Burke, aby serce każdego uczciwego człowieka przejęte było jak największą zgrozą.

Konie szybko biegły i już uskuteczniliśmy dwa przeprzęgi, gdy niespodzianie stangret nasz skręcił na lewo i stanął przed ślicznym domkiem wiejskim przyozdobionym szerokiemi liściami powojowemi pnącemi się po ścianach i dachu, tak że całe domówstwo miało postać altany uplecionej z gałęzi drzew.

Był to zwykły przystanek dla powożących, chcących pokrzepić nadwerężone siły jednym i drugim kieliszkiem Callou. Na spotkanie nasze wyszedł Indyanin bogato przybrany i wymienił całą litanię różnych napoi, z uwzględnieniem gustu wszystkich bez wyjątku narodowości.

Przeszliśmy do ogródka ocienionego bardzo starannie, co w owej porze dnia, było nadzwyczaj pożądanem. Siedział tam przy stole wysoki mężczyzna, zdający się mieć około trzydziestu lat wieku. Popijał piwo angielskie, a za naszem wejściem powstał z zajmowanego miejsca i powitał nas bardzo grzecznym ukłonem.

— Spotkał nas nadzwyczajny wypadek w podróży, rzekł jeden z oficerów półgłosem do mnie, bo ujrzeliśmy Anglika zastępującego grzecznością py-

chę właściwą temu narodowi. Okoliczność ta jest tak niezwykła, że warto ją zapisać w naszym dzienniku.

Jakkolwiek zdanie to wymienionem było ścicha, doszło jednak do uszu nieznajomego, bo odezwał się do nas z uśmiechem:

— Zapisujcie panowie, zapisujcie, ale dla prawdy historycznej należy dołożyć, że jestem Francuzem i do tego urodzonym w Bordeaux.

Powitaliśmy serdecznie naszego rodaka, który zapytał nas czy nie przybyliśmy statkiem Erymanthe, bo właśnie oczekuje na podróżnego z tego okrętu, poleconego mi przez jednego z najszczerszych jego przyjaciół.

— Czy pan czasem nie jest August Duphot? zapytałem żywo nieznajomego.

— Tak jest panie, odpowiedział zwracając się ku mnie.

— Mam więc zaszczyt przedstawić się panu jako przyjaciel pańskiego przyjaciela, rzekłem podając mu list polecający.

Trudno opisać z jaką serdecznością przyjęty byłem przez mego rodaka, który tak mnie powitał jakby dawnego przyjaciela niewidzianego od wielu lat.

Byłem bardzo zadowolony z niespodzianego spotkania, bo nie ma dla mnie nic przykrzejszego jak pierwsze wejście do domu osoby nieznajomej. Nie znając nas, nie wie w jakim celu przybywamy do niej i nieraz zdarzyło mi się wyczytać obawę z twarzy, jakby pod wpływem tej myśli, że nowy przybysz żądać będzie pomieszczenia lub pieniężnego datku. Jakkolwiek po bliższem objaśnieniu lodowatą obojętność zastępowała największa uprzejmość, ale w moim umyśle pierwsze przyjęcie zostawia zawsze niezatarte wspomnienie.

Pan August Duphot w kilku słowach opowiedział mi powód swego przyjazdu do Ceylanu. Ojciec jego prowadził na tej wyspie znaczny handel wywozowy, bo wysyłał do Europy za kilka milionów bawełny, indygo i tym podobnych towarów. Po daniu synowi bardzo starannej edukacyi, zatrzymał go w swoim kantorze lat cztery, aby go obeznać z obrotem handlowym, a później ożeniwszy go w dwudziestym czwartym roku życia, wysłał do obecnego miejsca odwoławszy dotychczas bawiącego tam komisyonera swego. Od lat sześciu pan Duphot zakupuje towary na rzecz ojca swego, a przez ten czas kapitał domu został zdwojonym, to też najdalej za lat dwa lub trzy młody człowiek zamierza wrócić do Europy.

— Powiem jednak szczerze, mówił, że z prawdziwym żalem opuszczać będę wyspę Ceylan. Nawykliśmy już z żoną zupełnie do tej krainy. Otoczeni pyszną przyrodą, chętnie zostalibyśmy tu aż do śmierci, ale jestem Francuzem, a tem samem serce moje ożywione jest wspólnem uczuciem wszystkim moim rodakom, to jest że doznaję nieokreślonej tęsknoty do miejsca rodzinnego.

Spotkanie z panem Duphot zmieniło dalszy kierunek naszej wycieczki.

Oświadczył on stanowczo: że zabiera nas do siebie i nie przyjmuje żadnych wymówek; że czyni to z jednej strony dla przyjemności posiadania nas w swoim domu, a z drugiej strony w naszym własnym interesie, bo w Colombo nie ma nic godnego do widzenia, a on pokaże polowanie na krokodyle i daniele. Do Point-de-Galles posłał umyślnego, z poleceniem natychmiastowego powrotu, skoro ostateczny termin wypłynięcia statku francuzkiego będzie wiadomym.

Kaltna, tak się nazywała osada naszego rodaka, położoną była w prześlicznej dolinie wytworzonej przez odnogi gór z nadanem mianem Kotmale i cyplu Adama. Bez zwłoki czasu siedliśmy do powozu i dwa dzielne konie czystej krwi arabskiej biegły rączym kłusem, tak że najdalej za dwie godziny mieliśmy stanąć w domu naszego gospodarza.

Wedle zwyczaju indyjskiego służba nie siada do powozu, ale biegnie obok niego, będąc gotową na każde skinienie swego pana. Zwyczaj to zaiste barbarzyński, bo ubliżający godności człowieczeństwa. To też z prawdziwem współczuciem patrzyłem na biedaków lecących obok nas jak charty. Niezadługo otoczenie nasze zwiększone zostało w sposób niespodziany, bo pani Duphot wysłała na nasze spotkanie sześciu ludzi z zapalonemi pochodniami. Zaiste podziwiać należało siłę ich nóg i płuc, bo chociaż konie biegły żwawo, oni jednak wyprzedzili je oświetlając drogę. Amudu przez wzgląd na brak przyzwyczajenia do podobnej podróży, otrzymał pozwolenie umieszczenia się na stopniu powozu. Była to okoliczność tak niezwykła, że służba indyjska rzucała na niego złowrogie spojrzenia i gdyby nie nasza obecność, to z pewnością otrzymałby niemiłą zapłatę za swoją śmiałość. Należy bowiem zwrócić uwagę, że czarni są nadzwyczajnie pogardzani przez Indyan, choćby nawet ci należeli do najniższej warstwy.

Niezadługo stanęliśmy u celu naszej podróży. Pani Duphot przyjęła nas z elegancyą i grzecznością prawdziwie francuzką. Jako polecony jej mężowi przyjęty byłem z tem odróżnieniem, że śliczna gosposia podała mi drobną swoją rączkę do uścisku na sposób amerykański.

Po przywitaniu przeszliśmy do sali jadalnej, gdzie już wszystko przygotowanem było do obiadu.

Państwo Duphot, a szczególniej sama pani spragnioną była wiadomości z Francyi, czyli z Paryża, jako z miasta czarodziejskiego, uosabiającego w sobie kraj. Niezadługo na skrzydłach imaginacyi uniesieni zostaliśmy nad brzegi Sekwany, tak że zapomnieliśmy prawie o miejscowości gdzie byliśmy, sądząc, że znajdujemy się na bulwarach lub wśród pól elizejskich.

Złudzenie było tem mniej spodziewane, że przedmioty i ludzie otaczający nas, wskazywali że przebywamy w obcym kraju, mającym zupełnie odmienne obyczaje. Na czele należy stawić ogromnego Indyanina, poruszającego ogromnym punkach (rodzaj wachlarza), celem odświeżania powietrza. Różnorodne wonie kwiatów oddziaływały silnie na umysł nieprzyzwyczajony do podobnego rodzaju przyjemności. Liczna służba leżąc na murawie zawodziła śpiew powolny i jednostajny właściwy wszystkim okolicom wschodnim. Nareszcie krajobraz cały przyozdobiony był miryadami błyszczących owadów, podobnych do iskier unoszonych przez ruch powietrza, a ze wszystkich stron: z gór, stawów, drzew plantacyi, dochodziły głosy płazów, owadów, ptaków nocnych i zwierząt.

Widok był tak niezwykły, że nie pomyślałem o śnie i dosiedzieliśmy prawie aż do chwili, w której gwiazdy poczęły blednąć na widnokręgu zwiastując pierwszą dnia jutrzenkę.

Nazajutrz rano pan Duphot wszedł do mego pokoju sypialnego bez meldowania prowadząc za sobą służącego niosącego ubranie myśliwskie.

— Niech się pan prędko ubiera, mówił, przed śniadaniem zrobimy małą wycieczkę, ani mniej ani więcej, tylko będziemy strzelać do krokodyli, jak do celu. Wszystko już jest przygotowanem, oczekujemy tylko na pana.

Dosiedliśmy małych koników krajowych nazywanych Singapooz zdolnych do długiego biegu bez wytchnienia wśród największego nawet upału.

Przez pół godziny jechaliśmy lekkim truchtem wśród doliny położonej między dwoma łańcuchami gór ciągnącemi się aż do cyplu Adama.

Trudno znaleźć odpowiednich wyrazów do określenia wspaniałej roślinności, na którą patrzyłem z prawdziwem zdumieniem. Pędzel malarza dałby zaledwo słaby rys przepychu w jaki przystrojona była ta ziemia błogosławiona. Pożytek z pięknem połączony był wszędzie, bo drzewa i krzaki wydające owoce tak poszukiwane przez Europejczyków, uginały się prawie pod ciężarem kwiatów i roślin powojowych.

Drobne stawy położone w niewielkiej od siebie odległości, pokryte były mnóstwem różnobarwnego ptastwa przelatującego całemi gromadami po nad naszemi głowami.

Przybywszy na brzeg lasu złożonego z drzew płomienistych daktylowych i wielkich drzew indyjskich z wrosłemi prostopadle gałęziami w ziemię zsiedliśmy z koni a oddawszy takowe pod nadzór służących, poszliśmy dalej piechotą ze strzelbami zawieszonemi na ramionach.

Niezadługo las stał się tak gęstym, że chwilowo sądziłem że dalsze przejście będzie niepodobnem.

— Uwaga! szepnął do mnie p. Duphot postępując zwolna i ostrożnie, a niezadługo rozpostartym będzie przed naszemi oczami nadzwyczajnie wspaniały widok.

Postępowaliśmy dalej wązką ścieżką przeprowadzoną za pomocą ręki ludzkiej i siekiery zachowując jak największe milczenie. Niezadługo sztuczna droga stała się tak spadzistą, że trzeba było chwytać się za gałęzie drzew, aby nie spaść z nadzwyczajnie stromej góry.

Po dziesięcio-minutowej podróży, zatrzymaliśmy się jakby jednomyślnie na znak dany, celem chwilowego wytchnienia. Gałęzie drzew były tak gęsto rozłożone nad naszemi głowami, że najmniejszy promyk słońca nie przedzierał się przez takowe. Wszystkie przedmioty otaczające nas przybrały barwę brunatno-zieloną. Cisza zupełna panowała w przestrzeni, nieprzerywana najmniejszym szmerem; był to prawdziwy las dziewiczy niepozbawiony pewnego uroku, ale zarazem obudzający w sercu człowieka jakąś nieokreśloną tęsknotę.

Niespodzianie pan Duphot przywołał ruchem ręki marszałka swego dworu noszącego miano Ramanamy. Wskazał mu palcem zielony lijan zawieszony nad naszemi głowami. Sądziłem że chce nam pokazać jakąś ciekawą roślinę.

Indyanin przyklęknął u stóp drzewa, na którem znajdował się wzmiankowany lijan i począł nucić tęskny śpiew przerywany jakby dziwnem jakiemś sykaniem. Każda zwrotka kończoną była ruladami podobnemi do głosu ptaka malaborskiego nazywanego boul bual.

Po kilku minutach podobnego śpiewu, lijan na który zwróconą była nasza uwaga, jakby pod wpływem czarodziejskiego działania poruszył się i przeciągły syk dobiegł do naszych uszów.

Pomimowolnie zadrżeliśmy, bo mniemany lijan był wężem leśnym znacznej długości.

— Bądźcie panowie spokojni, rzekł nasz gospodarz, wkrótce Ramassamy pochwyci go, wyrwie mu zęby a tem samem uczyni go zupełnie nieszkodliwym.

Pod wpływem śpiewu czarodzieja, wąż zwolna rozwijał pierścienie swego ciała, odpowiednio do taktu muzycznego. Głowę swoją dosyć kształtną skierował ku ziemi, wlepiwszy oczy czerwone w śpiewającego Indyanina. Wpływ magnetyczny był tak wielki, że płaz pozbył się właściwej mu przezorności, a odwinąwszy ostatnią obrączkę spuścił się zwolna na murawę.

W jednej chwili Ramassamy pochwycił go nieco powyżej głowy, aby przeszkodzić ukąszeniu i ukazał go nam owiniętego koło ręki i ramienia. Wkła-

dając następnie w jego paszczę nóż oderwał dwa zęby i pęcherzyki z trucizną. Po wymierzeniu go okazało się że miał półtora metra długości.

— Jest to jeden z najniebezpieczniejszych wężów, rzekł p. Duphot. Początkowo sądziłem że to jest tak nazwany *wąż lijan*, wcale nieszkodliwy. Czerwone jednak centki znajdujące się na jego ciele wskazywały rodzaj zupełnie odmienny.

Ukąszenie jego jest równie niebezpiecznem jak okularnika. W obec podobnego wypadku nauka jest bezwładną i jedynym środkiem zapobiegającym jest wysysanie.

Słynni czarodzieje indyjscy w ten sposób ratują skaleczonych, a później za pośrednictwem ziół wzbudzają silne poty. Nie tracimy jednak czasu, bo lękamy się czy szmer naszej rozmowy nie spłoszy krokodylów. Las był coraz gęstszym, tak, że postępowaliśmy ścieżką wyżłobioną w masie leśnej, znajdując się jakby pomiędzy dwoma ścianami. Wypadało iść z nadzwyczajną uwagą, bo zniewoleni byliśmy odgarniać drobne gałązki zagrażające naszym oczom. Po nagłym spadku trzeba było drapać się na górę bardzo stromą, a skoro stanęliśmy na jej szczycie, to wydaliśmy pomimowoli okrzyk podziwienia i zachwytu. Przed naszemi oczami rozpostartą była pyszna dolina w kształcie lejka. Drzewa bez porównania rzadziej rosnące dozwalały widzieć przepyszne murawniki przyozdobione kwiatami. Na spodzie doliny znajdowało się okazałe jezioro, poprzerzynane w różnych kierunkach olbrzymiemi drzewami indyjskiemi, co nadawało powierzchni wody postać niezwykłą. Wśród jeziora znajdowała się wyspa będąca prawdziwym wieńcem ułożonym z drzew i roślin kwitnących. Gromady ptastwa począwszy od olbrzymiego zimorodka i czapli aż do kolibra ożywiały okolice napełniając przestwór powietrzny swojemi pieniami.

— Otóż i przybyliśmy do jeziora będącego zwykłem siedliskiem krokodylów, rzekł pan Duphot ścicha. Wyznać należy, że obrzydliwe te gady mogłyby wybrać mieszkanie odpowiedniejsze do swej powierzchowności. Wyraziłem podziwienie, że w miejscu tyle niebezpiecznem ze względu na żarłoczność krokodylów, znajduje się tak znaczna ilość wodnego ptastwa.

— Niech pan nie ma najmniejszej obawy o te stworzenia, odparł pan Duphot, są one bowiem nadzwyczaj przezorne i mają wzrok bystry. Każde ukazanie się krokodyla czy to płynącego pod wodą, czy też wynurzającego swoją paszczę, po nad jej powierzchnię, wywołuje okrzyki zgrozy pomiędzy ptastwem i to w jednej chwili unosi się w powietrze szukając w innej stronie jeziora spokojniejszego żerowiska. Prawdopodobnie krokodyle nabrały przekonania, że podobne pożywienie nie jest dla nich przeznaczonem, bo nigdy nie czynią usiłowań dla pochwycenia wodnego ptaka, choćby największego rozmiaru i najcięższego lotu. Teraz zabierzemy najodpowiedniejsze stanowiska, a Ramassamy rzuci przynętę pomiędzy trzcinę i byłby wypadek nadzwyczajny, gdybyśmy w przeciągu kwadransa nie mieli sposobności sprobowania celności naszych strzałów.

Stanęliśmy po za gęstym kłąbem krzaków z odwiedzionemi kurkami i palcami położonemi na cynglach.

Ramassamy z szybkością nadzwyczajną rozrzucił wielkie kawały mięsa koziego umyślnie na ten cel przygotowanego.

Pół godziny upłynęło w daremnem oczekiwaniu. Prawdopodobnie krokodyle i pokrewne z nimi kaimany i alligatory spłoszone zostały szmerem naszej rozmowy i szelestem kroków i lękały się ukazać na powierzchni wody.

Sądziliśmy że cała wyprawa spełznie na niczem i chcieliśmy zapalić cygara, gdy niespodzianie podsunął się ku nam na bałyku Ramassamy i ukazał nam na przeciwnym brzegu jeziora kanię wodną przelatującą z gałęzi na gałęź i wydającą głośne krzyki, a później zakreślającą lotem swym elipsy w naszym kierunku.

— Cierpliwość nasza będzie wkrótce wynagrodzoną, rzekł pan Duphot. Ptak, którego krzyki dochodzą do naszych uszów, jest niezawodną zapowiedzią krokodyla. Towarzyszy on mu we wszystkich biesiadach, mając nadzieję resztkami biesiady zaspokoić swoją żarłoczność.

Przepowiednia ta okazała się prawdziwą, bo wkrótce dostrzegliśmy głowę alligatora zbliżającego się ku naszej stronie. Płynął szybko i z taką lekkością, że zaledwo zostawiał za sobą nieznaczne pręgi poruszanej wody.

— Na dany znak przeze mnie wystrzelimy wszyscy na raz, szepnął pan Duphot, trzeba mierzyć albo w oczy, albo poniżej łopatki, dwa miejsca jedyne gdzie potwór może być ranionym śmiertelnie.

Mimowoli serce mi silnie uderzyło w piersiach, bo po raz pierwszy w życiu miałem strzelać do podobnej zwierzyny.

Alligator tymczasem szybko pochłonął zwietrzone kawały mięsa i zbliżał się ku ostatniemu. Trzask złamanej gałęzi suchej pod nogami jednego z myśliwych zwrócił uwagę potworu. Zatrzymał się nagle i śledził bacznie wzrokiem brzeg jeziora. Zupełna cisza zdawała się go uspakajać, ale widocznie dla lepszego zbadania okolicy, wyciągnął w górę swoją głowę i odkrył znaczną część piersi pozbawionej twardej pokrywy. To było powodem jego zguby. Na dany znak wypaliliśmy z naszych strzelb tak zgodnie, że huk czterech broni palnych zbiegł się w jeden.

Przeciągły ryk gardłowy był dowodem, że kule nasze posłane były celnie.

Dla sprawdzenia tej okoliczności, chcieliśmy pobiedz ku jezioru, gdy pan Duphot krzyknął głosem wystraszonym:

— Alligator wyskakuje na brzeg! Chrońcie się panowie, bo wam zagraża wielkie niebezpieczeństwo.

Bez namysłu skoczyłem na rosnące obok drzewo daktylowe i byłem świadkiem sceny jakiej nigdy nie zapomnę, tak silne na umyśle moim wywarła wrażenie.

(d. c. n.)

Korespondencya z Londynu.

Obok wschodniej, groźnie wysuwa się kwestya chińska. Groźba że barbarzyńcy zaleją Europę. — Oddawanie posad kobietom na stacyach kolei żelaznych. — Vidocq rodzaju żeńskiego. — Odmowa płacenia podatków. — Święta Australii. — Edukacya kobiet. — Profesor Hollowayjego kollegium dla kobiet i pigułki dla... całego świata. — Cudowna działalność ogłoszeń na wielką skalę. — Wuj Tom w Londynie. — Cyganie w Anglii i ich ukryte skarby; zakłócenie miłego spokoju właścicieli wspaniałych willi w Dulwich, z powodu sąsiedztwa cyganów. — Trwoga korporacyi i zakładów miłosiernych w Londynie, z powodu rozciągnięcia kontroli nad ich dochodami. — Królewska Akademia malarstwa; wystawa, odmówione obrazy i współzawodnictwo sir Couts Lindsay. — Autobiografia Hariety Martineau. — Zamęzcia panien Rotschild. — Odezwa rabina Adler.

(Dokończenie).

Miecz Damoklesa wisi teraz nad londyńskiem City: lord major drży na swojem kurulnem krześle, a municypalność trzymająca się zawsze na tak wielkiej stopie, będzie podobno musiała zstąpić na zwykły padoł. W naszym XIX wieku zacierają się tradycye poszanowania i czci dla wielkości i przywilejów; rząd, występując w charakterze opiekuna ubóstwa, żąda ścisłego rachunku z ogromnych bogactw zapisanych testamentami, na rzecz różnych stowarzyszeń i zakładów City. W swoim czasie, były to zapisy mało znaczące. ale obecnie skutkiem ogromnego podniesienia się wartości gruntów, na jakich wznoszą się szkoły, szpitale i różne zakłady miłosierne, a które wówczas leżały po za murami City i nader małą miały wartość, dziś jako leżące w najludniejszej części miasta, niesłychanie podniosły się w cenie. Niektóre z tych zakładów tak są teraz bogate, iż dochody ich przewyższają dochody majątków królewskiej rodziny. Sprawozdanie ze śledztwa zarządzonego dla sprawdzenia źródeł dochodów różnych korporacyi City londyńskiego, jest dziwną mieszaniną smutku i komizmu, pobudzającą to do śmiechu to do płaczu.

Weźmy za przykład Szkołę błękitnych chłopców (Blue Coat School); była ona założona w roku 1552 przez Edwarda VI, dla biednych opuszczonych dzieci. Dotąd spotkać można po ulicach Londynu chłopców noszących na sobie ubiór przepisany dla tej szkoły przy jej zakładaniu. Mają długie, do pięt sięgające suknie z błękitnego sukna, żółte pończochy, pas skórzany, a na głowie płaskie wełniane czapeczki. Cudzoziemcy oglądają się z zadziwieniem co to za oryginalne mundury. Szkoła tak jest dziś bogata, iż nie odpowiada założeniu, gdyż biednych dzieci wcale do niej nie przyjmują, i jedynie pobierają w niej nauki darmo dzieci bogatych rodziców, urzędników, oficerów i piastujących urzęda na dworze królowej. Aby dać pojęcie o niesłychanym przyroście dochodów Szkoły błękitnych chłopców, dość przytoczyć jedno tylko źródło: edykt Edwarda VI stanowi aby handlujący suknem, opłacali na rzecz szkoły po susie od każdego yardu sukna wprowadzonego do miasta. Dość porównać ilość sztuk sukna sprowadzonych za Edwarda VI z ilością obecnie zużywaną, aby zrozumieć jak ogromnie zwiększyły się dochody, już z tego tylko źródła.

Ale najjaskrawszy dowód nadużyć przedstawia pewna parafia City, której zapisano kiedyś 1,000 funt. dochodu dla biednych parafialnych. Ponieważ znaczna część parafii została przyłączoną do innej, zatem w tejże znajduje się obecnie dwóch tylko biednych, którzy tym sposobem mieliby prawo, każdy do 300 fun. dożywotniego dochodu. Ma się rozumieć że nie wiedzą o tem — a dochód wchodzi do kieszeni administratorów.

W dziedzinie sztuk pięknych wielki ruch panuje, jak zwykle na wiosnę z powodu otwarcia wystawy w Akademii królewskiej. Nigdy tak tłumnie nie zwiedzano pracowni malarzy jak w tym roku, a to według zwyczaju w ostatnią niedzielę przed 1 kwietnia. Oddawna już dawały się słyszeć gorzkie, mniej więcej uzasadnione skargi, przeciw kaprysom członków wyznaczonego przez Akademię królewską komitetu, do których należy przyjęcie i pomieszczenie obrazów; samym zaś Akademikom zarzucano że zabierają sobie najlepsze miejsca. Niezadowolenie doszło do takich rozmiarów, iż w tym roku najpierwsi artyści zmówili się aby nic nie dawać na wystawę. Podobne rozżalenie i niezadowolenie przytrafia się podobno wszędzie gdzie są artyści i wystawy, jednak oddziałały bardzo silnie na bogatego amatora i protektora sztuki malarskiej, sir Coutts Lindsay i kazał urządzić własnym kosztem, w najarystokratyczniejszej i najwięcej uczęszczanej dzielnicy Londynu, przepyszną galeryą przeznaczoną dla utworów artystów niesłusznie odrzuconych przez Akademię. Zamiar ten został urzeczywistniony i to z takiem powodzeniem, tak znaczną zapisano liczbę

obrazów, że Akademia zatrwożyła się nareszcie i weszła w układy z sir Coutts Lindsay, aby nie otwierał swojej wystawy aż 1 maja, to jest tylko na tydzień przed otwarciem jej wystawy: — za to ustępstwo, Akademicy posłali także swoje płótna do galeryi swego współzawodnika.

Najliczniej odwiedzaną była pracownia miss Elżbiety Thompson. Jak zwykle obraz jej przedstawia epizod z wojny krymskiej *Powrót wojsk angielskich z bitwy pod Inkermann*; jest tu może mniej ruchu, ale za to więcej czucia niż w dawniejszych.

Do najważniejszych tegoczesnych wydawnictw zaliczyć trzeba *Autobiografię* Harriety Martineau; jest to opis literackiego społeczeństwa tej epoki: odarty z wszelkich barw romantyczno-poetycznych i zamykający się w szrankach rzeczywistego życia. Sama historya książki jaką miss Martineau zostawiła społeczności jest dość niezwykła. W zimie roku 1854, pojechała do Londynu dla zasięgnięcia rady dwóch najsławniejszych ówczesnych doktorów; obaj zgodzili się na jedno i oznajmili jej: że wprawdzie może być iż pożyje jeszcze kilka lat, ale skończy nagłą śmiercią która lada dzień nastąpić może. „Po takim wyroku, pisze, najpierwszym moim obowiązkiem było przywołać mego notaryusza i sporządzić testament, a następnie zabrać się do napisania moich pamiętników."

I zaraz po powrocie zabrała się do pracy i przedstawiła prawdziwy obraz słabych i ujemnych stron charakteru, słynącego w świecie ze swej szlachetności, wzniosłości i mocy. Ta bezgraniczna miłość prawdy, którą wiedziona miss Martineau bez ogródki wypowiada wszystko co myśli o innych, nie dozwalała jej i siebie samej ochraniać, i z rzadką szczerością przedstawia się czytelnikom, Jak innych tak i siebie nie oszczędza wcale; już samo rozpoczęcie książki daje miarę czytelnikom czego mogą się spodziewać.

„Nie pragnąc i nie troszcząc się bynajmniej czy żyć będę kilka miesięcy krócej czy dłużej, spodziewam się przecież że własnoręcznie dokończę to dzieło: w przeciwnym razie dokona tego ktoś inny, z pozostawionych materyałów."

Niepodobna nie przyznać że pisma miss Martineau wielki wywierały wpływ na wszystkie kwestyi ekonomiczne zajmujące Parlament od lat trzydziestu. Zarzucano jej pozytywizm duszy i umysłu, ale nic on nie przeszkadzał jej w badaniach nad cenami żywności, podatkiem od własności, opłat od wina i zboża, i broszurki jakie napisała w tym przedmiocie, do dziś dnia są czytane, choć traktowane w nich kwestye dawno już są rozwiązane.

Ciekawe są dość pierwsze wystąpienia Harriety Martineau w świecie literackim.

Pochodziła ona z bardzo zamożnej rodziny i młodociane lata spędziła na zajęciach i prostych pracach gospodarskich w prowincyonalnym mieszczańskim domu. Aż pewnego dnia brat przyniósł jej jakieś pismo peryodyczne, i pokazując jeden z artykułów, unosił się nad subtelną jego logiką i ścisłem rozumowaniem. Dziwiło go, że jak zwykle, nie potwierdzała jego zdania i pochwał.

— Jest to, mówił, najlepszy z artykułów jakie kiedykolwiek ukazały się w tem piśmie; posłuchaj tych ustępów, jaki piękny styl! jak zdrowy pogląd i piękne ideje.

Zaczął czytać, przerwała mu zarumieniona, wyznając że jest autorką artykułu.

— Kiedy tak, zawołał, wyrywając jej z rąk pończochę którą cerowała, rzuć precz takie zajęcia, i zamiast igłą, pracuj piórem, gdyż jest to prawdziwe twoje powołanie.

Od tej chwili, miss Martineau podjęła sprawę nie wolności ludu, ale jego materyalnego dobrobytu; nie zajmowała się strawą jego duchową tylko cielesną. Poświęciła się wyłącznie badaniom nad kwestyą możliwego obniżenia cen żywności, i była tyle szczęśliwa iż doczekała się urzeczywistnienia znacznej części swych marzeń. Cieszyła się niewymownie iż okoliczności nie dozwoliły jej zaślubić narzeczonego, dla którego żywiła w sercu w młodych latach uczucie „nie tak żywe jak miłość, ale silniejsze niż przyjaźń." I rzeczywiście zamążpójście nie było stosownem dla niej, gdyż jak przekonywa Pamiętnik, miss Martineau w całem życiu nigdy nikomu nie starała się podobać prócz sobie samej, o siebie tylko dbała i dla siebie gotowaby była cały świat poświęcić.

Najświeższa z nowin miejscowych: dwie panny Rothschild zaślubiły jedna lorda Fitz-Roy, druga lorda York, a trzecia idzie za hrabiego Roseberry. Panowie ci są potomkami najznakomitszych rodzin angielskich. Arystokracya angielska jest może najdumniejszą ze wszystkich arystokracyi, a jednak nie cofnęła się przed takim mezaliansem.

Wielki rabin londyński, Adler, wydał świeżo postanowienie: że można przyjmować do synagogi chrześcian pragnących przejść na wiarę żydowską: czyżby miał kandydatów? Ha! być może, czegoż dziś nie robi się dla interesu.

T. C.

Nowe wydawnictwa.

Powieści historycznych J. I. Kraszewskiego z kolei piąta z czasów Bolesława Szczodrego w dwóch tomach p. t. Boleszczyce, wyszła nakładem Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie i znajduje się do nabycia we wszystkich księgarniach tak krajowych jak zagranicznych. Cena. rs. 2.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Klaudyi G. w Stalusie. Spełnienie każdej prośby z tak wielkiem zaufaniem dopełnionej, uważamy za obowiązek obywatelski od którego nigdy się nie usuwamy. W kwestyi jednak wynalezienia odpowiedniego Nauczyciela wielka zachodzi trudność. Jeżeli usiłowania Matki były daremne, to któż lepsze rozwinąć może działanie? Udaje się to czasami obcym osobom, ale tylko w takim razie, jeżeli te posiadają zupełne zaufanie Rodziców i niczem działanie ich nie jest krępowane. Zaufanie czas tylko obudza, a nim ono powstanie, mogą główne strony wzajemnie się do siebie zniechęcić. Tu wypadek podobny zajść może bardzo łatwo, gdyż całe dotychczasowe postępowanie jako widocznie niepraktyczne, musi być koniecznie choć wolno ale zmienione z gruntu. Do tego potrzebny jest nauczyciel światły, wytrawny pedagog, łagodny ale stanowczy, któryby przez wzgląd na przyszłość ucznia, nie dał się niczem sprowadzić z drogi postępowania raz obranego po dojrzałym i długim namyśle. Jeżeli użyte zostanie pośrednictwo pani Heleny Dąbrowskiej, chętnie współdziałać nie omieszkamy.

Pani K. w Grodnie. Każdy numer Tygodnika jak najregularniej ekspedyowany jest z Redakcyi w każdą sobotę rano i natychmiast pocztą przesyłany dalej. Nie może więc zatem tym sposobem jeden z prenumeratorów odbierać go pomiętym i w spóźnionym czasie, a drugi czystym i bez żadnej mitręgi. Tej nieprawidłowości jedyną przyczyną miejscowy urząd pocztowy, a Redakcya nie posiada żadnego środka, aby przy wprowadzonych zmianach pociągnąć go mogła do odpowiedzialności za szkodę jaką jej wyrządza.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w trzecim kwartale r. b., wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

SPROSTOWANIE.

W zeszłym N-rze w niektórych egzemplarzach zaszła pomyłka w powieści „Marya" na 1-ej stronicy, a mianowicie: Po skończeniu 2-ej szpalty, następuje wierszy 5, zamieszczonych na 2-ej stronicy od góry, następnie w 3-ej szpalcie 1-ej stronicy, od góry opuszcza się wierszy 5, które należy czytać na końcu tejże szpalty.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 15 (27) Іюня 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



N. 1—2. Sukieneczka princesse dla małej dziewczynki.

Opis do N. 26.

(Dokończenie.)

N. 18 i 19. Ząbki do bielizny.

N. 20. Deseń do ryc. 4 w N-rze 25.

N. 22. Kapelusz do wiązania zdobny girlandą kwiatów.

Odpowiedni dla osoby starszej z czarnego bastu, przybrany jest skosem czarnej jedwabnej materyi, 18 cent. szerokim, złożonym w fałdy i otaczającym dość wysoką główkę. Z przodu główki dana kokarda i kilka końcy wysiepanych brzegiem. Suta girlanda z liści kwiatów i trawek puszystych. Końce do wiązania po 76 cent. długie.

N. 23—24. Haft na muślinie; na firanki, serwety, rolety i t. p.



N. 8. Kapelusz z welonikiem tiulowym. Patrz ryc. 21.

Pasy muślinowe 24 cent. szerokie i pasy koronkowe z siatki gipiurowej lub t. p. zszywane na przemiany, stanowią tło firanek ozdobione pięknemi bukietami haftowanemi kolorową włóczką. Pojedyńczy bukiet jaki wskazuje ryc. 24 wyhaftowany na muślinowym kwadracie oszytym w około wszywką i koronką, stanowić może elegancką serwetkę do mebli (têtiére). Do haftu używa się cienka, w różnych kolorach dobierana włóczka *Crewel*, ścieg jest płaski, atłaskowy, sznureczkowy i w węzełki.

N. 25—27. Trzy kapelusze do ubrania wizytowego.

N. 25—26. Kapelusz z główką jedwabną. Płaskie, 5 cent. szerokie rondko plecione jest z ciemno-zielonej słomki; tegoż koloru reps jedwabny użyty jest na fałdowaną główkę, której przyszycie zasłania wianeczek z liści i drobniutkich kwiatków. Gałązka róży zdobi przód główki, druga spada z boku rondka; wierzch kapelusza



N. 5. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. N. 6. Suknia z vêtement wyciętem kwadratowo.



N. 7. Koronka do sukien letnich. Robota szydełkowa z płaską tasiemeczką.

przysłania sute pióro strusie. Rondo od czoła podszyte ruszą z materyi różowej i plisowanej z białej crêpe-lisse.

N. 27. Kapelusz z krepowemi końcami. Rycina 27 przedstawia kapelusz z żółtawej florenckiej słomki, z główką 9 cent. wysoką i rondkiem 7 cent. szerokiem. Wstążka żółta (mandarine) atłasowa 6 cent. szeroka otacza główkę i upięta jest w fantazyjny węzeł, przysłonięty z przodu bukietem kwia-



N. 3. Sukieneczka z paletocikiem. N. 4. Sukieneczka z tyłu zapinana.

tów. Ładne i efektowne dopełnienie stanowią końce z białej crêpe-lisse oszyte drobniutkiem plisowaniem, 174 cent. długie a 32 szerokie. Końce te przytwierdzone są z tyłu i zręcznie przerzucone do przodu; rondko od spodu podgarnirowane plisowaniem.

N. 28. Suknia z vêtement.

Odpowiednio do materyału z jakiego będzie wykończona i do zdobiących ją garnirunków, suknia taka stanowić może ubranie domowe, do wyjścia na ulicę, lub wizytowe. Vêtement formą princesse z przodu zapięte dwoma rzędami guzików, u dołu jest dwa razy przepięte kokardami. Plisowanie i plisa stanowi przybranie sukni załączonej na ryc. 28, odpowiedniej do domowego ubrania.

N. 29. Ubranie negliżowe.

Odpowiedni krój znajdą czytelniczki w tegorocznych N-rach z poprzedniego kwartału.



N. 9. Czepeczek dla starszej osoby. Patrz ryc. 29 w N. 25.

Negliż formą princesse ma plecy ukrojone tylko na długość stanika z baskiną, pod którą przyszyty jest bryt tylny ułożony w potrójną kontrafałdę. Model odrobiony z ciemnozielonego kaszmiru, przybrany był wązką i szeroką pletnią wełnianą koloru asperge. Ubranie to dane na rękawach, przy baskinie pleców, przechodzi oryginalnie wzdłuż kontrafałdy i zakończone jest u góry kokardą z wstążki w dwóch cieniach a z boku rzędem guzików. Z prawej strony przytwierdzona kieszonka, zakończona kokardą.

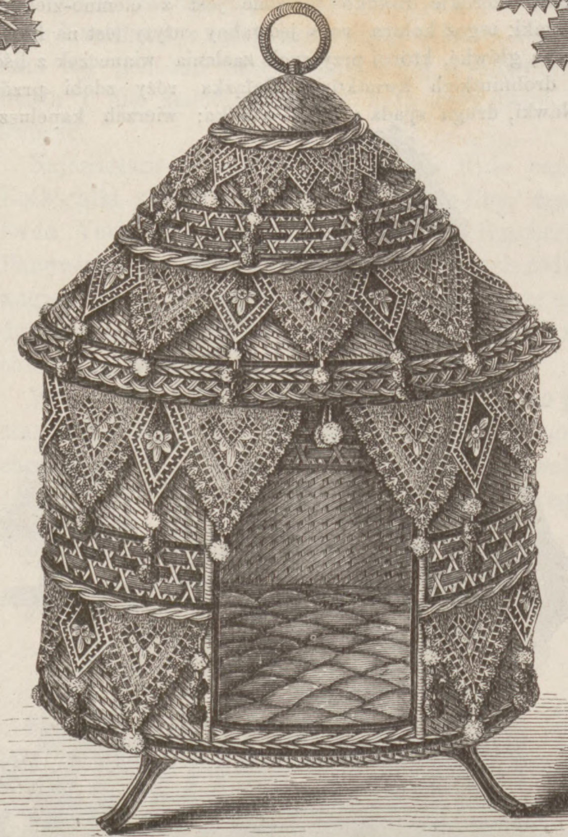


Lambrekina do przyozdobienia budki dla psa pokojowego.

kiej, miękkiej skórki sznurowany z przodu; sznurowanie to przysłania kokarda z wstążki z jednej strony przytwierdzona, z drugiej przypinająca się na guziczek.

N. 5. Czepeczek z denkiem z irlandzkiej koronki.

W przeszłorocznych i tegorocznych N-rach Tygodnika znajdą czytelniczki wzory koronek irlandzkich, które tu dadzą się zastosować; koronka do ryciny 5 ma 11 cent. w kwadrat, odrobiona jest z medaljonowej tasiemeczki łączonej kratką ażurową. Podstawę czepeczka stanowi pasek tiulowy 52 cent. długi zszyty w kółko, do tego kółka przyczepia się denko owalne muślinowe 30 cent. wysokie a 24 cent. szerokie, złożone brzegiem w równe fałdki. Z tyłu dodany jest jeden koniec 17 cent. długi a 11 szeroki, oszyty koronką i ogarnirowany plisowaniem muślinowem z koroneczką; takież plisowanie dane naokoło czepeczka. Przybranie stanowi wstążka jedwabna 6 cent. szeroka, ułożona podług ryc. 5.

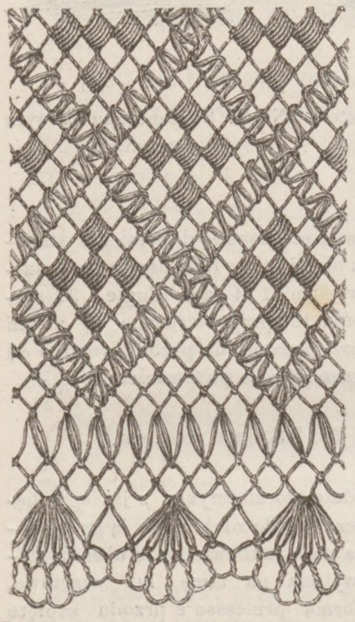


Budka dla pieska pokojowego.

Opis do N. 27.

N. 1. Haft dziergany do przyozdobienia sukien letnich.

Haft taki stanowi modne i efektowne przyozdobienie sukien z materyałów letnich jak kreton, batyst, płótno i t. p. Odrabia go się na białem płótnie w dobrym gatunku, dziergając kontury bawełną lub nicią białą, a wyszycie na liściach i kwiatach dane jest bawełną kolorową dobrą do prania np. ponsową, zieloną, niebieską, żółtą fijołkową. Kolory dobrać trzeba do cieniu lub odmienne lecz harmonizujące z sobą. Tło między deseniem jest wycięte i zapełnione kratką ażurową.



N. 10. Wzór siatki na mitenkę ryc. 27 w N-rze 25.

N. 2. Modne pończochy.

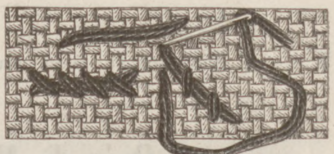
Na rycinie 2 przedstawiliśmy wzór modnych pończoch jakie wyrabiają z jedwabiu i nici, w różne ażurowe desenie podłużne i poprzeczne, wyszywane w desenie kolorowe lub w rzucik odmiennego od tła koloru. Pończochy te są bardzo długie, sięgające za kolana i tam podług angielskiego zwyczaju przytrzymane podwiązkami.

N. 3—4. Trzewiki półgłębokie.

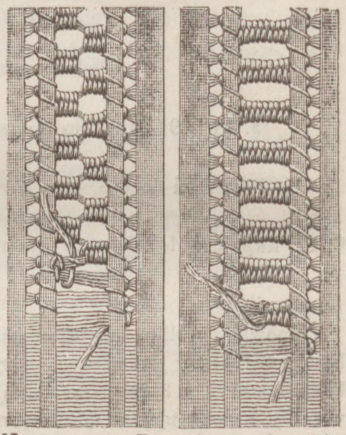
Takie trzewiki odpowiednie są do domowego ubrania i pończochy ażurowe ładnie przy nich wyglądają. Rycina 3 załącza bucik z materyi czarnej serge, z elastyką z boków i z pateczkami zapiętemi z przodu na guziki. Rycina 4 przedstawia trzewik z cien-

N. 6. Krawatka koronkowa. W przyszłym N-rze na ryc. 10 podamy deseń wyszycia na tiulu.

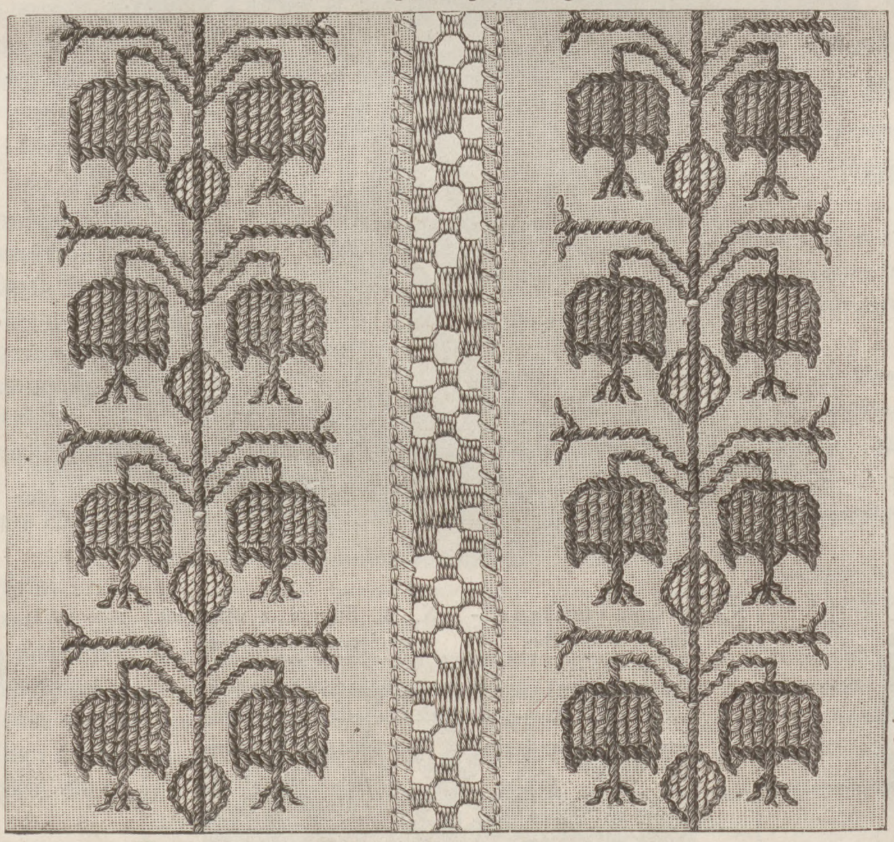
Lekka i dogodna do letnich sukien krawatka, może być zszyta z koronkowych wstawek lub wywodzona na tiulu; długość krawatki wynosi 150 cent. a szerokość 13 cent. W przyszłym N-rze podamy wzór wywodzenia i wskażemy sposób zszycia wstawki i koronki tiulowej.



N. 12. Wskazanie wyszycia ściegu do ryc. 11.



N. 13—14. Dwa wzory kratki ażurowej do ryc. 11.



N. 11. Haft na płótnie lub kanwie. Patrz ryc. 12—14.

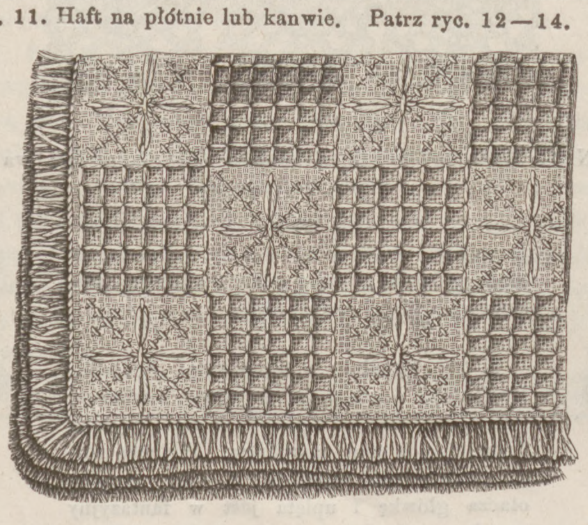
N. 7. Gorset robiony na drutach. Opis podamy w dalszym N-rze.

N. 8. Pas do przypinania spódnic. Krój na arkuszu N. XIV, Fig. 47.

Przy teraźniejszych wymaganiach mody pas taki urządzony do przypinania spódnic, jest bardzo dogodny szczególniej dla osób dobrej tuszy. Z przodu wszyte są paski elastyczne które ustępują odpowiednio do ruchów figury; z boku pasek zapina się za pomocą brykli, tak jak gorset; z tyłu i z boków wszyte fiszbiny zapobiegają od marszczenia się pasa. Dwie połowy przykrojone podług Fig. 47, zszyte z sobą z tyłu stanowią główną część pasa, przod składa się z trzech patek elastycznych po 3 cent. szerokich, przytrzymanych w środku patką trzy razy przestębnowaną. Górny i dolny brzeg



N. 26. Spódnica z falbaną plisowaną i układaną w kontrafałdy.



N. 15. Kołdra wyszywana włóczką lub filozelą.

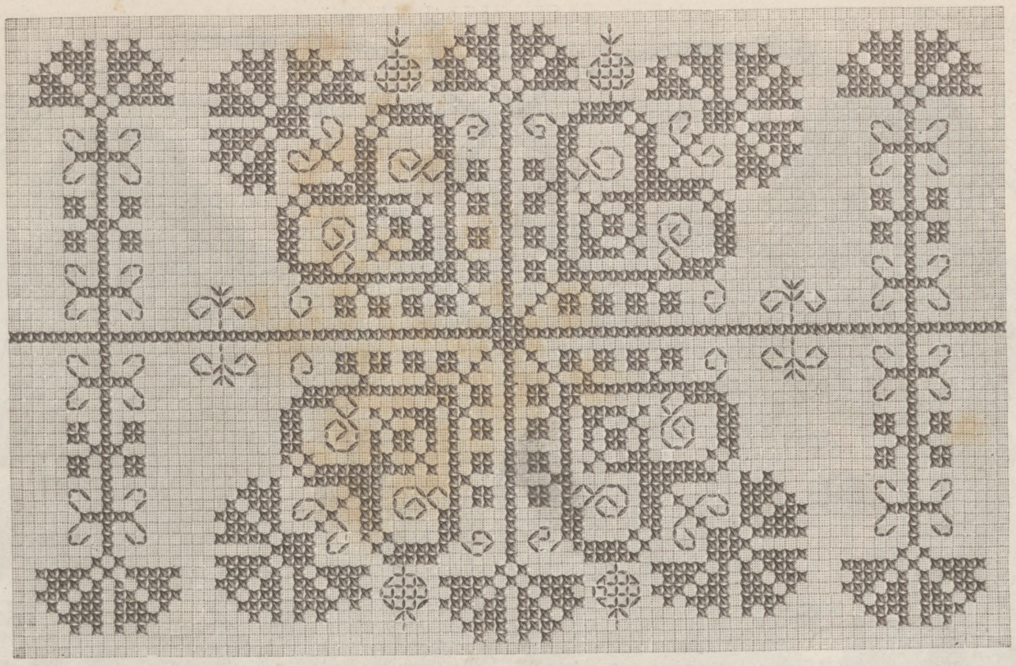


N. 17. Spódnica zdobna plisami i plisowaniem.

pasa oszyty jest sznureczkiem; guziki płócienne lub kościane służą do przypinania spódnic.



N. 18. Ząbki szydełkowe do bielizny.



N 20. Deseń wyszycia na ścieg krzyżykowy. Do ryc. 4 w N-rze 26

N. 9--10. Podwiązka robiona szydełkiem.

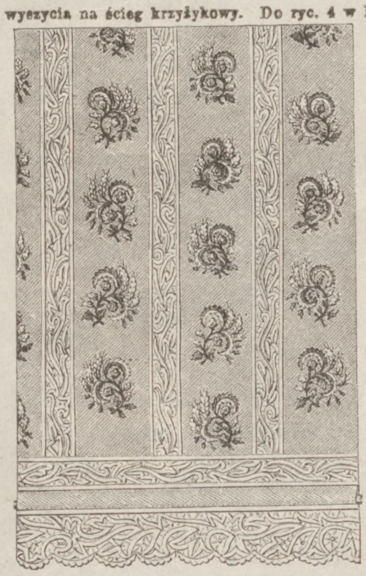
Niezmiernie łatwa do roboty, odpowiednia na podarunek od małych dziewczynek robi się z kolorowego jedwabiu lub włóczki na elastycznym sznureczku, znanym ściegiem plisowanym. Grubość sznureczka dobiera się podług ryciny 10; podwiązka zaczyna się wzdłuż na 130 oczek i robi ośm razy w szerz. Do skończonej podwiązki przyszywają się sprzączki do zapinania i dwie kokardy poprzecznie zwrócone.

N. 11. Suknia z trenem. Krój w dodatku N. XVI, Fig. 50.



N. 21. Kapelusz zdobny welonikiem. Patrz ryc. 8.

Podajemy w zmniejszeniu krój sukni z trenem, a całkowite miary długości i szerokości wypisane są przy każdym brycie. Przyszyta u dołu część stanowiąca tren, złożona z brytów bocznych *d* i ze środkowego bryta *e*, po przemarszczeniu w górze liczy 74 cent., nagłówek jest 3 cent. szerobi, potrzeba na niego naddać przy krajaniu 7 cent. wzdłuż, gdyż złożony jest we dwoje. Górny bryt tylny łączy się z bocznemi klinami i u góry ściąga na tasiemki, przód zaś i kliny wszyte są w pasek ścięty w ząb. Suknia załączona na ryc. 11 jest z czarnej materyi, u dołu zdobi ją plisowanie 27 cent. szerokie, dwa razy przestębnowane, w ten sposób iż górna stębnówka oddziela nagłówek 6 cent. szeroki; na samym trenie dodana jest u dołu druga plisowana falbanka 6—8 cent. szeroka.



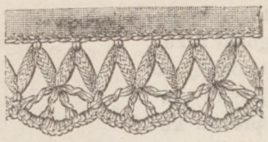
N. 23. Tło w pasy muślinowe haftowane i ażurowe. Na firanki i t. p. Patrz ryc. 24.



N. 24. Deseń haftu włóczką kolorową na muślinie. Wielkość naturalna. Patrz ryc. 23.

N. 12. Spódnica z dodanym trenem. Krój jak to ryc. 11.

Podług powyżej podanego kroju dopasowywa się elegancka spódnica, z tą tylko różnicą że bryty wszystkie krają się węższe a tylny znacznie jest przedłużony tren dodany jest z części oddzielnych. Brzegi górne wszyte są w pasek ścięty z przodu w ząb a z tyłu przedłużony w prostą listewkę do ściągania.



N. 19. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem.

Dół spódnicy można zaobrąbić na 4 cent., a lepiej jeszcze podszyć listwą i obszyć sznurem. Poniżej bioder dane tasiemki do wiązania spódnicy z tyłu, żeby fałdy zręcznie się zbierały; drugie tasiemki można przyszyć znacznie niżej, ażeby tren dobrze leżał. Spódnica przedstawiona na ryc. 12 zdobna jest z przodu i z boków prostem plisowaniem 44 cent. długiem, składanem w fałdy płaskie 3 cent szerokie. Część stanowiąca tren, przyszyta wzdłuż szwów bocznych u góry zmarszczona z nagłówkiem, przybrana jest dwoma falbankami po 10 cent. szerokiemi ozdobionemi koronką 4 cent. szeroką, wstawką i pliseczkami. Najodpowiedniejsze są do tego koronki niciane; siatka gipiurowa lub wywodzenie na grubym tiulu. Dolna falbana zachodzi na wąziutkie plisowanie idące brzegiem trenu.

N. 13. Suknia z vetement bez rękawów. Wskazanie kroju na arkuszu N. VI, Fig. 24.

Suknia princesse z ciężkiej jasnej materyi, zakończona u dołu 21 cent. szeroką falbaną, przeszytą w połowie w bufę z nagłówkiem, przysłonięta jest niezmiernie efektownem vetement z czarnego tiulu przerabianego w szenlowy deseń. Krótkie plecy vetement dopełnione są brytem z czarnej faille, fantazyjnie podpiętym. Kosztowne przybranie stanowi 15 cent. szeroka frendzla z czarnej szneli i jedwabiu w kolorze sukni, 6 cent. szeroki galon z tiulu przerabianego w deseń sznelowy, podwleczony materyą koloru sukni, kokardy z wstążki repsowej 7 cent. szerokiej i wielka szmuklerska rozeta z kwastami. Wzdłuż przodu idą guziki szmuklerskie. Rękawy z tej co suknia materyi zakończone plisowaniem przysłoniętem frendzlą i zdobne kokardą. Fig. 24 załącza w zmniejszeniu krój vètement: *a* oznacza prosty bryt tylny z gładkiego tiulu który marszczy się w górze i łączy z plecami, do boków przyszywa gładko a zbywająca długość wysuwa się u dołu, jak to widać na rycinie 13. Bryt *b* udrapowany na wierzchu jest z materyi faille boki i dół ma



N. 22. Kapelusz zdobny girlandą z kwiatów.

obszyty wypustką z materyi kolorowej; górny brzeg złożony w kontrafałdę 10 cent. szeroką, przytrzymany jest u dołu pleców kokardą z wstążki. Wzdłuż pleców na szwach bocznych od ramienia naszyty galon, przy którym bryt tylny przyczepia się z jednej strony w trzy fałdy, z drugiej podług ryc. 13 w jedną wielką fałdę, przez co skraca się do 94 cent. Na ryc. 18 w N-rze 28 podamy takie vetement odszyte z białego muślinu, zdobne plisowaniem i wszywkami.

N. 14. Suknia princesse z koronkową chusteczką.

Materya, gaza jedwabna, fular lub alpaga kolorowa stanowić może materyał na to ubranie. Dół sukni zakończa plisowanie przyszyte czterema zachodzącemi na siebie plisami; przybranie z plis przerzucone na sukni przechodzi z przodu skośnie aż do zapięcia princesse. Chusteczka otwarta podłużnie szyta ze wstawek i koronki; do szyi dane plisowanie z crepe-lisse. Zapięcie princesse przysłonięte jest wachlarzowo ułożoną riuszą z koronki, która zaczyna się i kończy pod kokardą z wstążki.



N. 25—26. Kapelusz z główką z materyi.
N. 27. Kapelusz z końcami krepowemi.

N. 15. Suknia dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 11 w N-rze 28. Krój na arkuszu N. XVII, Fig. 51—55.

Wycięta sukienka princesse, zapinana z przodu na guziki przedstawiona na ryc. 15 w dzisiejszym i na ryc. 11 w N-rze 28, wykończona jest z białego batystu i ozdobiona haftowanemi wszywkami i falbankami. Bardzo pięknie wyglądać będzie princesse z kolorowego muślinu lub lekkiego wełnianego materyału, gdy ją przybierzemy koronkami i plisowaniem z białego muślinu. Kokardy ułożone są z wstążki repsowej niebieskiej $4\frac{1}{2}$ cent. szerokiej.

Krój podaje fig. 51—55; plecy (Fig. 53) dodopełnione są prostą częścią w kontrafałdy ułożoną, 104 cent. szeroką; przody (jak to widać na ryc. 11 w N-rze 28) mają wszytą wstawkę 2 cent. szeroką w odstępie 2 cent. od brzegu przedniego, 4 cent. od dołu i wzdłuż szwu bocznego od *n-p*; z pod wszywki wysuwa się falbanka 4 cent. szeroka, która idzie aż do góry wzdłuż prawej połowy przodów. Karczek i małe rękawki (Fig. 54) zszyte są z wstawki i koronki; kieszonkę układa się podług Fig. 55; jest ona 9 cent. długa ułożona w kontrafałdy i zakończona w górze haftem, u dołu kokardą.

(d. n.)



N. 28. Suknia z vetement.



N. 29. Ubranie negliżowe.